Nr. 19 (1167). Warszawa, dnia 26 Kwietnia (9 Maja) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Dynamit w Salonice.

Dzień 29 kwietnia był jednym z najstraszniejszych w dziejach współczesnej polityki i cywilizacyi europejskiej. Wśród wieczornego spokoju starożytnej Tessaloniki nagle ukazało się kilka w różnych stronach miasta pędzących powozów publicznych, a siedzące w nich indywidua wyrzucały na ulice bomby dynamitowe. Jednocześnie już gorzała filia Banku Otomańskiego, do której zrobiono podkop, a od pożaru tego zajmował się w pobliżu leżący Bank Mityleński. Rzucone bomby zapaliły Klub Zagraniczny, który głównie w tej funkcyi wzięty był na cel. Waliły się i płonęły w kilkunastu jeszcze miejscach domy, porażone przez bomby. Od pocisków rzucanych na samą drogę padali przechodnie. Ludność zaskoczona nagle, gdy oprzytomniała, wpadła w szał. Miasto składa się z krętych, ciasnych uliczek, zabudowanych szczelnie domami, tulącymi się do siebie, bez pustych placów i przerw: łatwo mieć obraz tego istnego piekła, które w Tessalonice wieczorem d. 29 kwietnia zahuczało.

Wesołymi pasażerami powozów publicznych, twórcami podkopu do filii Banku Otomańskiego któżby był, jeśli nie patryoci pan-bulgarscy. Cały ten czyn, heroiczny dla polityki, wstrętny dla cywilizacyi — ich był dziełem. Kilku z nich od własnych bomb na miejscu śmierć poniosło. Ale tych patryotów, którzy byli rzeczywistymi sprawcami, szukać potrzeba nietylko w dorożkach i podkopach salonickich: są jeszcze w komitetach macedońskich miejscowych, są w głównym, któremu usunięcie się pozorne Michajłowskiego i aresztowania dokonane w pierwszej chwili pod naciskiem styczniowym Rosyi i Austryi wcale istnienia dalszego nie przecięły; są wreszcie w samym rządzie bulgarskim, bez którego pomocy niepodobna pojąć, jak mogli napastnicy saloniccy posiąść tak ogromną naraz ilość dynamitu, jakiej na napaść swą rzeczywiście zużyli. Co było ich celem? Czy przerażenie Turków i zmuszenie ich do ustąpienia z Macedonii przed Wszechbulgaryą? O tem żaden nawet dzieciak zamarzyć nie mógł. Czy pomszczenie się za Mitrowicę? Ta ich wcale ani ziębi, ani grzeje, bo w Mitrowicy niema wcale Bulgarów; są tylko Serbowie, Bośniacy, Czarnogórcy — bracia wprawdzie, ale tak mili, że zawzięty z nimi proces, z zajazdami i gwałtami złączony, uważa się za swój obowiązek. Czy celem wreszcie było wstrząśnienie dyplomacyi dla interwencyi? *Dnewnjik* sofijski — ze spokojnem sumieniem a dziwnie wężową sofistyką zwierza się Europie, że taka była istotnie pobudka działania patryotów w dorożkach, w podkopach, w komitetach i w samym rządzie bulgarskim.

Od czasu napaści na spokojnie siedzącą w teatrze barcelońskim publiczność, nie było czynu anarchicznego, któryby z wypadkami w Salonice mógł rozmiarami i donioslością swoją się zmierzyć. Jeśli z tej strony dotychczas żadne oko na Salonikę z d. 29 kwietnia nie spojrzało, jeżeli głos żaden z pośród poważniejszyah w prasie europejskiej się nie odezwał, przyczyną jest obcość tego świata wschodniego dla umysłu aryjskiego, lekceważenie ogólne Turków i prawie już powszechna do nich nienawiść, urobiona przez nowe prądy polityczne, zmierzające zgodnie z wszech stron do rozbioru Turcyi. Kiedy anarchiści rzucili bombę w salę teatralną, najradykalniejsze umysły wołały: trzeba ratować cywilizacyę i kulturę. Dziś nikt o takim ratunku nie pomyśli. Owszem, obawiać się raczej potrzeba, żeby naturalny odwet, wzięty doraźnie przez władze tureckie i przez samą ludność, nie kazał i dyplomacyi i opinii publicznej w Europie zapomnieć o gwałcie spełnionym przez patryotów pan-bulgarskich i nie wywołał postępowania stwierdzającego trafność ich pobudek i racyonalność rachunku. Samo nawet przekupienie policyi tureckiej, o którem donosi telegraf, tłomaczące możność spełnienia czynów tak niezwykłych a trudnych, będzie argumentem przeciwko Turcyi a za Bulgarami. Sprawiedliwość w polityce polega na upodobaniach. Krzywdzicielem jest zawsze ten, którego nie cierpimy.

Nawet ze stanowiska praw narodowości bałkańskich do ziemi owładniętej przez Turków czyn Bulgarów w Salonice nie może się przedstawić inaczej, jeno jako gwałt, zaskoczenie, podejście. Gdyby kiedykolwiek nastąpił podział odpowiadający rzetelnie i prawom historycznym i temu prawu życia, które się przejawia w osiadłości, w przewadze kulturalnej i cywilizacyjnej, to całe pomorze od Tessalii do półwyspu Chalcedońskiego, wraz z wgłębieniem w ląd, musiałby się dostać Grekom, a nie Bulgarom, wraz z samą Saloniką. Wyrabiać sobie tytułów rzeczywiście prawnych bombami niepodobna. Nie przyniosą one nic dla sprawiedliwego rozwiązania kwestyi wschodniej, a raczej łupieztw bulgarskich wtedy, gdy już półksiężyc turecki przestanie świecić nad Albanią i Epirem, Macedonią i Turcyą. Ale Bulgarzy wiedzą aż nadto dobrze, że w polityce sprawiedliwość jest babą-żebraczką z kruchty ko-

ścielnej i że o niej nawet w dobrem towarzystwie, w poważnem naukowo-historycznem gronie wstyd mówić. Wiedzą oni, że los sprzyja zuchwałym; pamiętają niedawne przygody, podróże i toasty; widzą, jak im się żadna krzywda nie stała od straszliwych rewizyj i aresztowań sofijskich, a jaką dzielną, choć potajemnie udzielaną, pomoc znajdują w dzisiejszym rządzie bulgarskim: ufni więc w proch i dynamit, zagarniają dla siebie Macedonię, aby wytworzyć sobie prawo posiadania — do tego powietrza, które wystrzałami i wybuchami swymi wzruszają. W dziejach nieraz i to wystarcza.

Listy z Wiednia.

1 maja.

Przewidywanie nasze się sprawdziło: namiestnik Galicyi, hr. Piniński, który już na pewno miał się podać do dymisyi po interpelacyi p. Daszyńskiego w sprawie spadku po Tuczyńskim (ob. nr. 16 *Prawdy*) pozostaje na swem stanowisku jeszcze czas jakiś, lecz rychłe zastąpienie go przez hr. Andrzeja Potockiego lub hr. Kazimierza Badeniego uważane jest za pewne.

Hr. Piniński jest w obecnej chwili otoczony aureolą, wytryskającą z odpowiedzi prezesa ministrów na interpelacyę, „kojony w swym żalu“ przez p. Tomasza Daszyńskiego, człowieka starszego, niegdyś kapitana wojsk austryackich, dziś zarządcę dóbr, który głośno potępił postępek brata-posła, a głównie — zastrzegł się, że informacye nie od niego pochodzą. Że p. Tomasz Daszyński, jako człowiek zależny, coś podobnego mógł napisać, to nikogo nie dziwi; ale że ktoś z obozu Pinińskiego o to się starał i to wyzyskał, to dowodzi tylko— mściwości i braku innych argumentów.

Hr. Piniński musiał zostać jeszcze przez czas jakiś, bo — innej satysfakcyi, takiej, któraby polegała na obaleniu zarzutów, nikt mu dać nie był w stanie...

Odpowiedź p. Ernesta Körbera bowiem warta jest akurat tyle, co list p. Tomasza Daszyńskiego. Wiadomo, jaki stosunek łączy każdy c. k. rząd czarno-żółty z Kołem polskiem w parlamencie tutejszym. Rząd ma 65 głosów kołowców na każde zawołanie, do wszystkiego, nie za darmo oczywiście, i nie za zdobycze kulturalne, ekonomiczne lub narodowe dla Galicyi, tylko za pozostawienie zupełnej swobody gospodarce szlacheckiej w Galicyi. Sześćdziesiąt pięć głosów w parlamencie, tak rozstrzelonym, głosów ludzi, za swą „psią wierność“ cenionych w sferach wyższych od p. Körbera — to znaczy, że p. Körber jest od Koła polskiego zależny i że w sprawach galicyjskich poprostu słuchać go musi. Z całego też jego wystąpienia widać było, że działa i mówi pod batem, jak niewolnik, z ukrytą niechęcią do rozkazodawców. On, który nigdy nie widział matki hr. Pinińskich, i któremu nic do tej zupełnie nieurzędowej osoby, wyraża żal z powodu „splamienia pamięci tej szlachetnej i czcigodnej kobiety...“ Co za obłuda! Że interpelacya p. Daszyńskiego nie zawierała ani jednego zwrotu, któryby upoważniał do podobnej nagany, najlepszy dowód w tem, że prezydent Izby poselskiej, hr. Vetter, magnat morawski i z pewnością nieprzyjaciel grupki „przewrotowców,“ pomimo natrętnych żądań Kołowców nie uznał za potrzebne skarcić autora interpelacyi, a natomiast p. Mieczysławowi Pinińskiemu za jego obelgi udzielił wyraźnej nagany, choć złagodzonej uwagą o jego „podnieceniu.“

Oczywiście, czytelnicy naszych dzienników o tym ciekawym szczególe nic się nie dowiedzieli. Nasze pisma codzienne przyjęły w zupełności taktykę galicyjskich: przemilczać tekst samego oskarżenia, a za to — lżyć jego autora, mniej lub więcej parlamentarnie, i upędzać się za „dowodami“ przeciw niemu, które pozwalały paradować z sensacyjnymi tytułami: „oszczerca w pułapce“ itd. Przypominały one wszystkie razem tego Żyda, co to po pierwsze, dzbanka wcale nie pożyczał, po drugie, jak on go pożyczał, to on już był stłuczony, a po trzecie, jak on go oddał, to on był cały. Tak było przynajmniej ze sprawą obrazu Grottgera, co do którego interpelant twierdził, że kurator spadku z polecenia starosty Telichowskiego przesłał go namiestnikowi bezprawnie. Bystry p. „skr.“ z *Kuryera Warsz.* odkrył np. niewiadomo gdzie, że obraz ten kupił starosta z polecenia namiestnika na licytacyi w Nowem Siole. *Głos Narodu* znów pisał, że p. Pinińskiego wcale niema, tylko p. Małachowski. A prof. Antoniewicz świadczy, że był nie jeden obraz Grottgera, lecz jeden obraz i sześć szkiców, że je kupił p. Piniński, ale nie na licytacyi, tylko z wolnej ręki, po ocenie tych pamiątek na 800 koron przez Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, dokąd je kurator spadku przysłał w tym celu. P. Körber wreszcie dodaje, że kurator, ks. Krasnopera, postąpił tak, ponieważ namiestnik *wyraził mu życzenie* kupienia tych szkiców. Nawiasowo tylko warto zaznaczyć niesumienność informacyj p. „skr.“ i *Głosu Narodu*. Wracając do samej sprawy, czyż nie wygląda ona bardzo dziwnie? Któż jest tak usłużny, że natychmiast *właśnie* namiestnika zawiadamia o istnieniu szkiców do nabycia w obcym dla niego spadku — i namiestnik je kupuje za 800 koron *bez licytacyi*. Podobno procedura spadkowa pozwala na to; ale nie na wszystko, co jest tylko *dozwolone* przez prawo, powinien pozwalać *sobie* namiestnik, dbały o swe imię i powagę. Na jakich bowiem podstawach oceniono obraz i 6 szkiców *Grottgera* na 800 kor., nie wiemy; ale wolno, zdaje się, przypuszczać, że gdyby je wystawiono na licytacyę publiczną i zawiadomiono o tem polskich miłośników sztuki, to chyba zapłaconoby za nie znacznie więcej!

Jeśli piszemy tyle o tym szczególe, to dlatego, że obrońcy namiestnika skoncentrowali na nim wszystkie swe wysiłki, pozostawiając daleko ważniejsze rzeczy w cieniu, bez odpowiedzi. I prezes ministrów tylko na tym punkcie, i na drugim jeszcze, próbował przeczyć twierdzeniom interpelacyi. Tym drugim punktem były listy rodzinne. Dr. Körber utrzymuje, że ksiądz Krasnopera, znalazłszy w papierach Tuczyńskiego kilka listów braci namiestnika, treści zupełnie obojętnej, z własnej inicyatywy oddał je staroście. Dlaczego staroście? *Z urzędu* nie miał on w tej sprawie nic do roboty. Interwencya jego jest w każdym razie nielegalna. Obojętnej treści?.. Błogosławieni, którzy uwierzyli. Coby

---

5)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Scena nabierała burzliwie - śmiesznego charakteru. Ten tłum rozzuchwalonych włóczęgów lada chwila mógł pochwycić na ręce i strażnika i grubego Damiana i zacząć podrzucać nimi, jak piłką. Policyant cofał się przezornie. Karski silił się uprowadzić Leona. W ten rozgardyasz wszedł Bryłkin z butelką w ręku, powiódł przekrwionemi oczami po zebranych i obwieścił, że... funduje wiadro spirytusu.

— Oto pieniądze! Ale musicie zaraz wyruszać... Wypijemy je na wyspie... Starosta niech biegnie do szynku, a wy... do wioseł!.. Kogoście na starostę wybrali?.. Obucha pewnie?

— Nie. Ja jestem! — odrzekł ciemny i posępny mężczyzna, wysuwając się na czoło.

— Aha!.. Majdaniarz!.. *) Bardzo dobrze... Masz wprawę!.. — żartował kupiec. Wręczył mu pieniądze i wyszedł z szopy, a robotnicy za nim. Damian biegł obok, gotów nieledwie polizać „dobroczyńcę“ w łokieć.

— Aby tylko ruszyć... aby krok... Oj, grzechy, grzechy!.. — mruczał idący na ostatku Koźma.

— Faraony... Wyzyskiwacze... Obedrzyjcie ze skóry a dobrze całą tę nikczemną kobyłkę... Pokażcie im, gdzie pieprz rośnie... Nauczcie rozumu obmierzłych żyganów... Nasypcie im węgli w spodnie!.. Idźcie, idźcie, głupie obdartusy, bogaćcie się... własną pracą... Zbierajcie krwawicą „kapitały“!.. Gotujcie nożyczki do obcinania zarobionych kuponów!.. Ale ja nie pójdę... Niema głupich... Chodziłem ja dość!.. Nie sprzedam wolnej mej woli i ochrzczonej duszy za spleśniałego suchara!..—krzyczał Indor, wymachując rękami za odchodzącymi towarzyszami. — Co innego za kieliszek wódki... Prawda, panowie szlachta?! — Mrugnął filuternie na Karskiego i Leona, przechodzących mimo, czapę futrzaną głęboko na uszy nasadził i zwrócił się w stronę poblizkiego szynku.

— Co ci przyszło do głowy wtrącać się?.. I wcale nie miałeś racyi!..—wyrzucał Karski przyjacielowi.

— Jakto nie miałem racyi? — oburzył się ten i przytoczył cały szereg niezmiernie logicznie zbudowanych dowodów.

— Nie znasz tych ludzi i nie liczysz się z niczem... To zupełnie inne środowisko! — przerwał mu niecierpliwie Karski.

— Nie potrzebuję ich znać... Albo mam racyę, albo nie mam racyi!..

— Doktryner! — syknął Karski.

— Oportunista... Zawsześ był skłonny do ustępstw!..

Szli obok siebie chwil kilka, bladzi od gniewu, nie patrząc na siebie. Wreszcie Karski opamiętał się, stanął przed towarzyszem i ręce mu na ramionach położył.

— Kłócimy się... a przecież... przecież... za chwil kilka rozstaniemy się... może na wieki!..

Łzy zamgliły źrenice obu.

— Widzisz, gdybym tak jak ty rozumował, nigdybym stąd... nie wyjechał!.. — szepnął Karski. — Czasem masz racyę, a czasem jej nie masz... Pewność siebie jest wielką zaletą, ale... nie zawsze można walić obuchem... Cierpię, Leonie, nie uwierzysz, jak cierpię!.. — dodał ciszej — gdyż pojmuję, że początek takich rozumowań. to początek słabości, ale pomyśl, coby się stało, gdyby wybuchła awantura. Przypisanoby ją nam. Zatrzymanoby mię, a dla mnie zostać tu, znaczy to samo, co skazać na śmierć... moją żonę. W dodatku, myślę, że byłaby to zupełnie nieużyteczna ofiara. Nikt w tym wypadku nie wygrał. Nawet ty, pewny jestem, nie tak przecie

*) Majdan — prawo wyłącznego handlu chlebem, herbatą, cukrem, wódką, tytoniem, kartami, nabywane w sybirskich więzieniach za pewną opłatą od aresztantów przez jednego z nich, zwanego stąd „majdaniarzem“ (majdanszczyk). Majdaniarz pobiera również pewien procent od wygranej z graczów więziennych.

w takim razie szkodziło, żeby listy przeszły do ewentualnych spadkobierców?

Ale nie o to tu idzie. To są wszystko szczególiki podrzędne. Idzie o zaginięcie naszyjnika, pamiętników, a co najważniejsza, testamentu z zapisem 170,000 kor. dla literatów polskich. Idzie o to, że aż do interpelacyi, czyli przez 15 miesięcy po śmierci Tuczyńskiego, nie było w sprawie tej potrójnej zguby żadnego śledztwa. Interpelacya sprawiła, że p. Körber przynajmniej śledztwo nakazał. Czy to śledztwo da jakie rezultaty? Niewiadomo. Bo, gdyby była dobra wola po temu, to prawdopodobnie już dawno wiedziałyby władze, kto, gdzie i kiedy zabrał lub zniszczył testament, pamiętniki, naszyjnik. *Naprzód* wyraźnie i kilkakrotnie pisze: że „złodziej chodzi bezkarnie po kraju“. Wymieniać go? nie jego rzecz. Ma się rozumieć, że nikt nigdy nie mówił i nie myślał, żeby przywłaszczycielem miał być ktoś z Pinińskich, jak to zrozumiały niektóre nasze dzienniki ku wielkiemu swemu oburzeniu. Nie: przecież Pinińscy nie mają żadnych praw ani pretensyj do spadku. Ale jeśli ktoś, kto widać miał interes w usunięciu testamentu, zdecydował się na ten czyn niebezpieczny, to dlatego zapewne, że spodziewał się bezkarności; a jeśli mógł się spodziewać bezkarności, to tylko dlatego, że zamącenie prawidłowego biegu postępowania spadkowego po Tuczyńskim, zamącenie, dzięki któremu mogły zginąć ciekawe zapewne pamiętniki it.d. musiało odpowiadać jawnym czy utajonym pragnieniom rodziny wpływowego namiestnika, która tak skwapliwie postarała się wejść w posiadanie nawet zupełnie, jak twierdzi Körber, obojętnych listów. Ten to związek odbiera kradzieży testamentu charakter sprawy prywatnej, a nadaje jej piętno demoralizacyi i korupcyi publicznej, nie „galicyjskiej“, broń Boże!—tylko klasowo-szlacheckiej. Dopełnia zaś tego piętna fakt, że w Kole polskiem, które, jak jeden mąż, głosowało przeciw wnioskowi p. Daszyńskiego otwarcia dyskusyi nad odpowiedzią Körbera, zasiada około dziesięciu posłów, których bliższa lub dalsza rodzina rości sobie teraz pretensye do spadku po Tuczyńskim! Czyż po tem wszystkiem nie nasuwa się mimowoli słowo: — *mafia*? Kilkaset spokrewnionych rodzin rządzi Galicyą!

Od tego skandalu przejść jeszcze chcemy na chwilę w dzisiejszym liście do innej sprawy ogólno-politycznej, której, zdaje się, opinia publiczna u nas, nawet względnie postępowa, również dobrze nie rozumie: do sprawy regulaminu parlamentu austryackiego, która w tym tygodniu została... pogrzebana. I to właśnie ma się za jedną więcej winę sprawcom niepowodzenia, grupce posłów z lewicy społecznej. Pan von Grabmayr, poseł niemiecko-„liberalny“ z kuryi wielkiej własności w Tyrolu, wypracował taki piękny projekt reformy, skracający procedurę, uniemożliwiający obstrukcyę, zaopatrujący prezydenta w rzeczywistą władzę. Ale dziesięciu posłów z tej grupy zapowiedziało, że użyje wszelkich środków obstrukcyjnych, przez całe miesiące będzie żądało odczytywanie łokciowych petycyj, ogłoszeń imiennych itd. —a do tej zbawiennej reformy nie dopuści. I srogie partye prawicy zlękły się, cofnęły, reformę postawiły na szarym końcu porządku dziennego, czyli—odłożyły do kalend greckich. Dlaczegóż? dlaczegóż? Czemuż nie wykorzenić haniebiącej parlament, osłabiającej habsburską Austryę obstrukcyi? Oj, Horostraty! Oj, głupi radykalizm!...

Lecz zagadnienie obstrukcyi jest daleko bardziej złożone, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Dlaczego we Francyi nigdy niema obstrukcyi? Dlaczego silna obecna mniejszość klerykalno-nacyonalistyczna nie spróbowała jej nawet, choć szło o istnienie wszystkich zakonów? Dlaczego prezydent Izby, Casimir Perier, coś dziesięć lat temu, mógł, przywoławszy podkomendny mu oddział wojska, wyrzucić po kolei z jednego posiedzenia trzech awanturujących się bulanżystów i oświadczyć, że zrobi to, w razie potrzeby, i z piętnastoma? Dlatego, że: 1) parlament we Francyi jest rzeczywiście organem niezbędnym, bez którego woli, w razie jego sparaliżowania, nie byłoby rzeczywiście budżetu, nie byłoby rządu, byłaby anarchia—i cała opinia to wie; 2) parlament we Francyi odzwierciedla dokładnie naród; czego chce większość parlamentu, to jest bezwątpienia wolą większości narodu, o którą niechybnie złamałby się opór mniejszości. A tu, w Austryi. Sparaliżowanie parlamentu przez obstrukcyę nie przeszkadza wcale ministrom rządzić, pobierać rekruta, podatki, ba! nawet nakładać nowe: — od tego § 14 konstytucyi. Obstrukcya odbiera więc jedynie rządowi aureolę parlamentaryzmu, czego się tenże czasem trochę — boi... Powtóre, co niemniej ważne, a może ważniejsze, mniejszość i większość w parlamencie austryackim mają się wręcz odwrotnie do większości i mniejszości wśród ogółu obywateli państwa! Pięć tysięcy wielkich właścicieli ziemskich w „kuryi“ I wybiera 85 posłów, pięć milionów mężczyzn dorosłych, pracujących w kuryi V, „powszechnej“ — wybiera 72 posłów! Posłowie trzech pierwszych kuryj: wielkiej własności, izb handlowych, miast (czyli płacących podatki bezpośrednie w miastach), a nawet w niektórych miejscowościach, i czwartej, wiejskiej (zamożniejszych chłopów-właścicieli) nie potrzebują wcale dbać o ogół ludu, bo to nie są jego wyborcy: więc ich przekonać, wywrzeć na nich nacisk za pomocą prasy, opinii publicznej itd. — w jakiejś sprawie, lud pracujący obchodzącej — niepodobna. Mniejszość parlamentu, reprezentująca większość, a przynajmniej znaczne masy ogółu, winna więc mieć na nich środek ostry, w razie zbyt już silnej krzywdy. Zapewne, stan niniejszy może interesom państwowym zaszkodzić. Na to jest soosób: znieść średnio-wieczny, potworny system kuryalny, dać głosowanie równe i powszechne, jak we Francyi, jak w Niemczech i Włoszech. Gdy to nastąpi, gdy zmieniony zostanie też § 14, ta ciągła możliwość powrotu do absolutyzmu, gdy Austrya zamieni się na państwo prawdziwie parlamentarne, wtedy będzie można i trzeba znieść możliwość obstrukcyi. Dopóki to nie nastąpi, reforma regulaminu byłaby ze strony wszelkiego stronnictwa reformatorskiego opozycyjnego kręceniem bicza na samego siebie. I po co? Niech sobie ministrowie ćwiczą się w gimnastyce, układając się ze stronnictwami narodowościowemi o wciąż przedłużane zawieszenia broni. A jeśli kto powie, że obstrukcya może też przeszkadzać dojściu do skutku reform pożytecznych dla ludu, to będzie to błędem. Reforma taka bowiem wtedy tylko zjawia się w parlamencie, gdy jest już tak

---

pojmujesz poprawę stosunków! Więc poco?..

— Dosyć, już dosyć! Nigdy nie wybrniemy z tego labiryntu!.. — przerwał Leon z resztką niechęci. — Skuci ludzie zawsze się szarpią za łańcuch.

Spojrzeli sobie w oczy i uścisnęli się długo i mocno.

IV.

Wiosłując, ominęli cypel piaskowy, poczem oryle wyskoczyli na brzeg. Koźma rzucił im duży zwitek sznura. Guran stanął u steru. Holownicy trochę pijani i rozmarzeni uszykowali się długim szeregiem wzdłuż wody. Koźma w małem czołenku krążył między łodzią a brzegiem. Kupcy wylegli na brzeg z butelkami i kieliszkami w ręku. Spirydion, trzymając drążek mierniczy siadł na samym końcu na sztabie jak na koniu.

— Hej! Ruszaj! Z Bogiem! W imię Ojca i Syna.....

Holownicy pochylili się, sznury napięły, łódź zakołysała i pomknęła przeciw prądowi, odkładając sztabą w obie strony na wodzie dwa srebrne wąsy bruzd. Z tyłu zakłębiły się zmącone odmęty, a odbite obrazy miasta, brzegów i gór zatańczyły na nich fantastycznie.

Karski z żoną wyjrzeli ze swej budy po raz ostatni na zachodzące za łoziny miasto. Zielona, kędzierzawa gęstwina chłonęła jeden za drugim wesołe domy z roziskrzonemi w blasku słońca oknami, ulice, kopulaste cerkwie, statki i ludzi na brzegu. Gwar miejski dobiegał coraz niewyraźniej, mieszał się ze szmerem rzeki, z pluskiem fal bijących o brzeg holowanej łodzi i ginął zwolna pokonany.

Leon i Makary stali na wysokim sągu drzewa i machali czapkami. Pani Anna z dzieckiem na ręku odpowiadała im, powiewając chusteczką mokrą od łez.

— Boże, Boże! Jacyż oni biedni!... biedni!.. — szeptała do męża.

> Oj! *Jekuckie* zacne miasto,
> Ma dziewki lipkie jak ciasto!.

z humorem zanucił jeden z kupców na przedzie łodzi.

> Oj, dębino! huknijmy wraz!
> Oj, zielona, sama idzie!
> Szarpnij-my... szarpnij-my!..
> Huknij-myyy...
> Och!

chórem odpowiedzieli holownicy.

> Chłopów tęgich, zawsze pijanych
> Nieumytych, nieczesanych...

szydził dalej kupiec.

> Oj, dębino, huknijmy wraz!
> Oj, zielona, sama idzie...

odpowiadał chór.

Nakoniec znikł i biały klasztor na końcu miasta. Z po za czubów wikliny wyglądały czas jakiś wierzchołki okolicznych gór, wreszcie i one zapadły za nie, a przed nimi, za nimi i wszędzie pozostała tylko srebrna rzeka, obrzeżona złotymi piaskami i bladą zielenią.

— Hej! Pilnuj!.. Zczyszczaj!.. Miotaj!.. Lekciej! — grzmiał co chwila Guran od rudla.

Jeden z holowników podbiegał naówczas do tłukącego się po brzegach i wodzie sznura, spychał go z gałęzi kijem lub oswobadzał od zadzierzystych, ukrytych pod wodą „wilków.“

— Pięć, trzy, dwa i pół... pięć... — wykrzykiwał monotonnie Spirydyon, zanurzając w nurt miarę.

Koźma na czółenku wyprzedzał szkutę i drogę badał.

Damiana nie było.

Zgięci w pałąk, z liną na ramieniu holownicy ciężko brnęli przez piachy, podśpiewując i pokrzykując na przemian. Skoro jednak łódź zawróciła wązkim kanałem w labirynt wiklinowych „pławni“, piosenka umilkła. Znikły piaszczyste, dogodne nabrzeża: trzeba było przedzierać się przez środek zarośli, gdzie ludzie, związani sznurem, plątali się wciąż, jak w sieci.

Szkuta posuwała się wolno krętemi, jak strumienie, łachami o brzegach niewyraźnych, nizkopłaskich, zalanych, gdzie wiklina wyrastała często wprost z wody, jak trzcina, gdzie nurt rwał przez zarośla z łoskotem, jak na skałach i kołysał krzewami, jak wicher. Musieli wciąż buchtować, oryle zwijali sznury, siadali do łodzi, chwytali za wiosła lub wlekli statek z trudnością, czepiając się giętkich, wężowatych wici nadbrzeżnych. Najwięcej napracował się Koźma, przewożąc ludzi i sznury z kępy na kępę, badając drogę lub odczepiając wciąż plączące się w gałęziach cumy. Czółenko jego krążyło bezustannie dokoła stat-

potrzebną i dojrzałą, że popiera ją sam rząd i stronnictwa wrogie ustąpić muszą pod parciem z zewnątrz; o obstrukcyi więc przeciw niej mowy być nie może. Dowodem: reforma górnicza z przed dwóch lat, prasowa—obecnie.

I z tych powodów—panom Grabmayrowi i Abrahamowiczowi nie pozwolono uratować Austryi i zyskać podzięki — z po za parlamentu...

zz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Serya odczytów o wsi polskiej. — Pochodzenie wsi polskiej i jej rozwój dziejowy. — Wieś galicyjska w XIX stuleciu. — Odczyty dr. St. Grabskiego i dr. Krzyżanowskiego.

Donosiłem już o utworzeniu się w Krakowie Towarzystwa dla pielęgnowania nauk społecznych. Obecnie mamy do czynienia z realnymi plonami działalności nowej organizacyi, mianowicie skończyła się pierwsza serya wykładów publicznych „O wsi polskiej,“ urządzonych staraniem Towarzystwa w jednej z sal wykładowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odczyty te, pomimo dość niepomyślnej pory — feryj wielkanocnych z jednej strony, a poczynającej się wiosny z drugiej — gromadziły znaczny zastęp słuchaczy. W liczbie dziesięciu stanowiły one dość harmonijną całość i dawały słuchaczom rzeczywiście wartościową strawę duchową, a cała prasa miejscowa—od *Czasu* do *Naprzodu* — przyjęła je z sympatyą, jako objaw dążności do przedmiotowego wyświetlenia stosunków krajowych.

Seryę odczytów rozpoczął prof. Karol Potkański, który mówił o pochodzeniu dzisiejszej wsi polskiej. Prelegent dowodził, że typ dzisiejszy wsi polskiej jest bardzo dawnego pochodzenia. Z całą stanowczością możemy stwierdzić istnienie jego już powszechne w XV i XVI stuleciach, a genezę jego należy odnieść do XIII wieku. Jest ona związana z głębokim przełomem ekonomicznym i społecznym, przez jaki wówczas przechodziła Polska. Polska ówczesna oddawna już była wyszła z okresu gospodarstwa bezobrotowego, właściwego ludom napół barbarzyńskim. Znajdowała się ona jednak jeszcze w okresie surogatów pieniądza, a większość danin na rzecz panującego księcia, kościoła i pana wsi płacona była w skórkach, futrach, zbożu, bydle i miodach. W XII—XIII wieku takie stosunki już przestają wystarczać — daniny, uiszczane w naturze zostają stopniowo zamieniane na daniny pieniężne. Inicyatywę daje kościół, za jego przykładem podążają książęta, możnowładcy i wogóle właściele ziemscy.

Miejscowa ludność rolnicza nie mogła na razie uczynić zadość temu żądaniu, to też poczęto ściągać kolonistów z dalekiego Zachodu, gotowych uiszczać czynsz pieniężny. Z Flandryi, a następnie z Niemiec płynęły do Polski tysiące osadników, którzy zakładają setki wiosek na prawie niemieckiem w XIII i XIV wieku. W sprowadzaniu osadników niemieckich przodują klasztory, za ich przykładem idzie książę, a za nimi możnowładcy i szlachta. Ci to koloniści przynoszą z sobą do Polski metody uprawy roli typu zachodniego, pług żelazny, trzypolówkę, oraz podział wsi na trzy pola, podzielone na wązkie pasma pól poszczególnych rolników danej wioski. Podstawą wewnętrznego urządzenia nie jest umowa, którą dziś nazwanoby kontraktem dzierżawnym, koloniści bowiem nie są niczem innem, jeno czynszownikami drobnymi dzierżawcami, farmerami. Ta umowa była zawierana nie z kolonistami, lecz z przedsiebiorcą czy agentem, werbującym kolonistów — sołtysem. W zamian za tę swoją rolę pośredniczącą sołtys otrzymywał od właściciela ziemi podwójny dział gruntu, prawo niższego sądownictwa i pobierania kar pieniężnych, prawo utrzymywania jatek i pędzenia piwa. Ciążył na nim za to obowiązek służby wojskowej. Reszta kolonistów otrzymywała łan wielkości 30 morgów w wązkich pasach, rozłożonych w trzech polach. Płacili oni określony czynsz, ale dopiero po 10—12 latach korzystania z roli. Mieli prawo opuszczania jej pod pewnymi warunkami.

Wkrótce ten ruch osadniczy, pierwotnie dotykający jedynie kolonistów zagranicznych, ogarnia całą ludność rolniczą Polski, a pod wpływem tego ruchu gruntownie zmieniają się dawne nasze stosunki średniowieczne. Upada organizacya grodowa, zanika poprzedni system danin. Pod wpływem dalszego rozwoju społeczno-ekonomicznego nowy system osadnictwa uległ pewnym przeistoczeniom, ale główny zrąb pozostał. I w ramach też tej formy podziału pól wsi dokonał się drugi zasadniczy przełom gospodarczy w Polsce w XV—XVI w. — powstanie gospodarstw folwarcznych, kiedy szlachcic, przestając zadawalać się czynszem, sam bierze się do rolnictwa, usuwa sołtysów i zagarnia ich ziemię, ruguje bez litości kmieci, przekształcając ich na służbę folwarczną. W ciągu wieków rosły obszary folwarczne, zmniejszały się role kmiece, ogólny typ wsi polskiej pozostał jednak nadal niezmienionym i przetrwał upadek państwa.

Dziś — mówi p.. Potkański — widzimy zjawisko odwrotne — parcelacyę obszarów folwarcznych. Jakby powrotna fala działki włościańskie coraz silniej zalewają grunta dworskie. Tego przewrotu nie przetrwa chyba tradycyjna wieś polska, gdyż warunki dzisiejszej gospodarki rolnej domagają się zerwania z nią. Gospodarczy bowiem i techniczny postęp rolnictwa włościańskiego nie da się pogodzić z istnieniem przedsiebiorstw rolniczych, składających się z wielu drobnych, wązkich, po całym obszarze rozrzuconych pasków roli.

Po prof. Potkańskim mówił młody uczony — dr. Franciszek Bujak, autor paru cennych studyów monograficznych, dotyczących ekonomicznych stosunków ludności wiejskiej w Galicyi. Roztoczył on przed słuchaczami-—w formie dość chaotycznej—obraz wsi galicyjskiej w XIX w., podając głównie wyniki obserwacyi osobistej w powiatach Galicyi zachodniej.

Wiek XIX jest epoką nader szybkiego życia ludu polskiego w porównaniu z czasami dawniejszemi, to też we wszystkich dziedzinach tego życia widzimy zmiany zasadnicze. W poglądach na te zmiany p.

---

ku, jak mała, stroskana kaczuszka dokoła wielkiej matki, która zaniemogła.

— Koźma!. Ej Koźma!.. Brodaczu!.. Czas by zatrzymać się! — wołali nań i kupcy i oryle, lecz Koźma milczał i wciąż płynął dalej...

Wreszcie słońce zapadło za wikliny. Mrok mglisty i chłodny napełnił wązkie łachy i poczernił wodę.

— Dość! Nie pojedziemy dalej!..— rzekli holownicy.

— Jeszcze trochę!.. Cóż tu... tutaj nic nie ma... tu błoto... tu i pohulać nie będzie gdzie... Dowleczcie się choć do tamtej kępy... Tam sucho, tam Damian kazał czekać!.. Tutaj on nas nie znajdzie! A bez niego nic nie będzie — niema wódki! — przemówił wreszcie Koźma.

Oryle niechętnie poszli we wskazanym kierunku.

Wybrana wysepka przedstawiała wydmę piaszczystą, okoloną niby zakonniczą tonsurą wiankiem zarośli. Leżała na samym skraju „pławi,“ a po za nią głucho szumiała już macierz rzeki, otwarty tu, aż po przeciwny brzeg wysoki i lesisty. Chłód, mgła i wiatr szły stamtąd i mąciły cieplejsze, stęchłe powietrze zamulonych łach i krzewiastych ostrowi.

Karski wyszedł na brzeg i z czuba pagórka spojrzał ku miastu. Znajdowało się bliżej, niż przypuszczał. Złocone kopuły jeszcze się lśniły w blaskach zorzy. Dymy wieczorne snuły się z kominów i, mieszając z mgłą rzeczną, kładły liliowe cienie na dalekie góry, na niebo z blademi gwiazdami, podarte na zachodnim skraju w długie wstęgi purpurowe i seledynowe. Między miastem i wyspą legły kobiercem gęste, równe i splątane, jak sierść niedźwiedzia, zarośla wiklinowe. Karski przyglądał się dobrze znanej okolicy, szukał wsród odległych urwisk białego szlaku drogi, po której zwykł był w ciągu lat tylu spuszczać się z płaskowyżyny do miasta; przypomniał sobie rozmaite wypadki z tych podróży, towarzysza zabitego na tej drodze przez niewiadomych złoczyńców, napad na siebie, z którego cudem wyszedł cało; dalej — swoją zagrodę, pracę w polu, dni i miesiące pełne tęsknoty, chorobę Anny, z której dźwignęła ją jedynie nadzieja powrotu, wreszcie miłe, dobre twarze towarzyszów, żyjących samotnie w nieprzejrzanych borach. Westchnął i spojrzał na przytuloną do brzegu szkutę. Anna z owiniętym w chustkę Olesiem szła ku niemu. Wziął dziecko z jej rąk, a ona oparła głowę na jego ramieniu i biegła wzrokiem w tę samą stronę, gdzie niedawno on błądził myślami.

— Kochany! Przecież i tam były chwile, żeśmy się czuli szczęśliwi!..

— Wróciłabyś?..

— Nie, za nic!

— Co nas czeka? Przyjedziemy bez grosza... Trudno będzie o zajęcie, zapomniałem pracować w sposób cywilizowany.

Kobieta poczęła szybko oddychać.

— Tam—śmierć!— szepnęła przez łzy.— Czułam, jak dusza gasła i tak się bałam, tak strasznie się bałam, że nie ujrzę już świadomemi oczyma kraju... Chcę widzieć ciebie i syna wśród swoich, w otoczeniu ludzkiem. Wtedy odejdę w spokoju...

— Poco masz odchodzić?.. Co za pomysły!?.. Zdrowie wróciło!.. Mówiłem o kłopotach, ale nie są to rzeczy niepokonane... Głupstwo!.. Wszystko się ułoży i znajdzie!.. — mówił gorąco Karski, zawstydzony swą chwilową słabością. Objął żonę i przycisnął do siebie. Anna trzęsła głową.

— Nie udawaj. Wiem, że to łatwo nie będzie, ale... po za nami coś... niby straszna hydra, lodowaty potwór o białych oczach i kłach... Wydaje mi się wciąż, że wyciąga ku nam drapieżną rękę... i dlatego biegłabym bez wytchnienia, nie jedząc, nie śpiąc... uciekałabym. Strasznie wolno posuwać się będziemy. Mam wrażenie opóźniania się i żarłoczne pragnienie pośpiechu. Zobacz, czy nie zgubiłeś przypadkiem pasportu? Dziewięćset wiorst!.. taka olbrzymia droga! Nie wierzę, żeby ci ludzie byli w stanie nas dociągnąć... Jacyś włóczędzy z pod ciemnej gwiazdy...

— Zwykli tutejsi oryle. Już rozpalili ogień. Wartoby zagotować i dla nas herbaty.

— Idź, nastaw imbryk... Ja pójdę do łodzi... Boję się ich!

(C d n.)

Bujak odbiega niejednokrotnie od utartych już sądów, dlatego też odczyty jego są specyalnie ciekawe.

Przedstawienie rozwoju ludności chłopskiej prelegent rozpoczął od ziemi i stwierdził, że niepodobna wyrobić sobie dokładnego wyobrażenia o postępie jej rozdrobnienia w Galicyi. To wszystko, zdaniem prelegenta, co wiemy o tem, jest niedostateczne. Prelegent odpiera zarzut, że ludność wiejska lekkomyślnie i w gwałtownem tempie rozdrabnia swą ziemię, otrzymawszy jej własność w r. 1848, a prawo dzielenia jej dopiero w r. 1868. Według zestawień Maruszego było w r. 1819 w Galicyi 519,292 posiadłości wiejskich, z czego 100,890 (tj. 1/5) miała mniej niż po dwa morgi powierzchni, 82,278 (tj. 1/6) miała 2—5 morgów, razem więc prawie 36% posiadłości chłopskich należało do gospodarstw, przy ówczesnym stopniu kultury zupełnie niewystarczających na utrzymanie ich posiadaczy. Według spisu, wykonanego w latach 1847—1859, posiadłości wiejskich było 793,970, czyli o 55% więcej, ale posiadłość chłopska poniżej 5 morgów wynosiła 92%, czyli prawie dwa razy więcej. Widzimy więc, że w ciągu życia jednego pokolenia, pomimo zakazu dzielenia gruntów włościańskich, przybyło 273678 nowych drobnych posiadłości. Stąd wniosek, że tak właściciele dóbr, jak i biurokracya austryacka nie zważali najzupełniej na zakaz. Zniesienie zakazu dzielenia ziemi było więc tylko czczą formalnością, stwierdzeniem faktycznego stanu rzeczy. Przyczyną podziałów był przedewszystkiem wzrost ludności, a następnie strach szlachty przed uwłaszczeniem chłopów przez rząd austryacki. Szlachta starała się jak najbardziej ziemię chłopską rozdrabniać, ażeby w ten sposób na wypadek uwłaszczenia zapewnić sobie taniego robotnika rolnego.

Zdaniem p. Bujaka dziś daje się stwierdzić inny proces ekonomiczny. Gdy w roku 1897 na podstawie tabeli podatku gruntowego ułożono statystykę własności mniejszej, okazało się, że w 15 powiatach Galicyi zachodniej wielkość przeciętnej własności włościańskiej nie zmniejszyła się od r. 1883, jakby się należało spodziewać ze wzrostu ludności i ze wzrostu liczby posiadłości, lecz owszem powiększyła się i to w kilku powiatach bardzo znacznie — o 30% nawet (w pow. Wielickim). Na jednego posiadacza ziemi włościańskiej przypada więc obecnie przeciętnie około 8 morgów, a więc dwa razy tyle, ile miała obejmować zagroda włościańska w r. 1832, według obliczenia dr. Franki. W Galicyi zachodniej przeciętna posiadłość włościańska wynosi zapewne około 6 morgów. Przyrost liczby gospodarstw wykazałby najwyżej 30% w ciągu pół wieku. Zdaniem p. Bujaka, chłop obecnie nie jest skąpiej uposażony w ziemię, niż był na wyjściu z epoki pańszczyznianej.

Uderzającem było w odczycie p. Bujaka zupełne pominięcie tak licznie reprezentowanej na wsi galicyjskiej ludności bezrolnej. Mówił on, co prawda, o emigracyi chłopskiej, jako czynniku ogromnie dodatnim dla rozwoju stosunków ekonomicznych wsi zachodnio-galicyjskiej, ale i tu zwracał uwagę jedynie na chłopów-właścicieli. Poważny brak stanowiło też pominięcie wszystkiego, co dotyczy zarobkowania ludności chłopskiej na łanach dworskich. Wiele uwagi natomiast poświęcił p. Bujak drobnemu przemysłowi i handlowi wiejskiemu, wygłaszając zdanie zupełnie różne od przyjętego i codziennie powtarzanego, mianowicie jakoby rząd austryacki tłumił w kraju przemysł lub chłopi dopiero teraz zaczynali brać się do handlu, wydzierając tę sferę działalności ekonomicznej Żydom.

Rządy austryackie, zdaniem p. Bujaka, początkowo nie tamowały rozwoju przemysłu, ale go popierały przez zakładanie licznych przedsiebiorstw w dawnych królewszczyznach i skonfiskowanych dobrach kościelnych, a pośrednio przez budowę zaniedbanych dróg. Dopiero w r. 1811 po raz pierwszy uwidocznia się chęć traktowania Galicyi jako kraju rolniczego, dopiero po r. 1830, pod rządami arcyk. d'Este i bar. Kriega widać skłonność do obchodzenia się z Galicyą po macoszemu i wyzyskiwania jej. W pierwszej połowie XIX w. Galicya posiadała stosunkowo pokaźny przemysł. Jeszcze około 1850 r. powiaty: Chrzanowski, Bialski, Wadowicki, Myślenicki, Sądecki, a poniekąd także Nowotarski, miały w większej mierze charakter przemysłowy, niż obecnie, a przemysł był źródłem utrzymania dla części ich ludności. Był on także rozwinięty w dzisiejszych powiatach: Krośnieńskim, Jasielskim, Sanockim. Kwitło sukiennictwo i tkactwo. Próbowano nawet wyrobu materyj jedwabnych i bawełnianych, flaneli. Około r. 1850 było 40 hut żelaznych, kilkadziesiąt hut szklanych, kilkanaście papierni i cukrowni, kilka wielkich fabryk skór itd. Po r. 1850 wszystkie te rodzaje przemysłu zaczęły szybko upadać, a około r. 1870 pozostały już tylko gruzy. Przemysł ten zabiła obca konkurencya, ułatwiona dzięki kolejom.

W pierwszej połowie XIX w. Galicya zachodnia nie była obszarem korzystnym dla importu z zachodnich krajów Austryi, bo i tam przemysł niedostatecznie rozwinięty, nie miał dogodnej i taniej komunikacyi, a tu był własny, który potrzeby ludności po największej części zaspakajał. Siedzibą jego była głównie wieś, a nie miasteczko lub miasto.

Miasta i miasteczka miały znaczenie jako miejsca targowe. Prawie każdy wytwórca wiejski sam sprzedawał swój towar, obnosił go albo obwoził po bliższych i dalszych targach i jarmarkach. Obok handlu, bezpośrednio z produkcyi przemysłowej wynikającego, był handel samoistny, który opierał się na handlu solą, zbożem, siemieniem lnianem, konopnem, bydłem i nabiałem. Byli kramarze wiejscy, handlujący świecidłami, wstążeczkami i igłami. Wprawdzie w handlu brali udział także żydzi, ale i chrześcińska ludność wiejska nim się trudniła.

Dziś z przemysłu domowego pozostały tylko strzępy, z handlu wiejskiego tylko drobne okruchy. Przyczyny wyschnięcia tych źródeł utrzymania były po większej części nieuniknione — rozwój przemysłu fabrycznego i kolei. Obecnie znowu wcale obiecująco budzi się ruch handlowy wśród ludności wiejskiej w całej Galicyi Zachodniej. Liczba sklepików chłopskich wynosi obecnie 1,500. Do rozwoju tych sklepików przyczynia się głównie fakt istnienia po wsiach licznych rodzin, które w znacznej części żyją z zarobków swych członków, pracujących po za granicą wsi i kraju. Oprócz tego przyczynia się do rozwoju handlu wzrost potrzeb i większe niż dawniej poszanowanie czasu, wskutek czego ogół nie biega po lada drobnostkę do miasta o 1—2 mil drogi oddalonego. Handel wiejski rozporządza jednakże z natury rzeczy zbyt małym kapitałem i wykształceniem, aby mógł wejść w bezpośrednie stosunki z producentami, musi więc zaopatrywać się w składach i większych sklepach w miastach i miasteczkach.

Chłop zresztą nietylko zakłada sklepiki, ale, o ile sądzić można, zaczyna coraz więcej pracować w innych gałęziach handlu. W góralskich stronach rozwija się przemysł wiejski, opierający się na dawnych podstawach. Wyrób desek w kilkudziesięciu tartakach, taczek i rękojeści do grubych narzędzi, takich jak siekiery, łopaty, wyrób mebli giętych lub przygotowanie materyału do tego wyrobu stanowią źródło zarobków ludności. W każdej wsi w tych stronach znajdzie się kilka lub nawet kilkanaście gospodarstw, których podstawą nie jest ziemia, ale czynności przemysłowo-handlowe.

P. Bujak zakończył swe odczyty przedstawieniem rozwoju oświaty, poglądów politycznych ludu i stosunków gminnych w drugiej połowie XIX st. W ciągu 1891—1900 wydano w Galicyi książek i broszur dla ludu przeznaczonych, przeszło 600. Pisma z zakresu rolnictwa stanowią 5% ogółu wydawnictw, prawa i polityki — 10%, powieści historycznych 8%, historyi i życiorysów 16%, poezyj i teatru 12%, powieści obyczajowych 15%. Biblioteki bezpłatne, zakładane przez różne towarzystwa oświaty, wzbudziwszy zazwyczaj początkowo zainteresowanie, bywają zaniedbywane. Silny ruch czytelniany jest zazwyczaj wywołany ciekawością nowości, która potem przestaje działać. Aby podtrzymać taki ruch trzebaby, zdaniem prelegenta, zdolnego i stale działającego agitatora. Aby biblioteki spełniły swoje zadanie, potrzeba aby treść ich stanowiła uzupełnienie nauki szkolnej tudzież, aby z nich korzystała młodzież dorastająca.

Ciekawe są dane p. Bujaka, dotyczące wzrostu liczby synów chłopskich na uniwersytecie krakowskim. W roku 1850 było ich tylko 24. W 1860 — 28, w 1870 — 55, w 1880 — 122, w 1890 — 143, w 1900 — 225. W ciągu więc lat 50 liczba wzrosła w dziesięcioro. W r. 1900 synowie, chłopscy stanowili 1/5 ogólnej liczby słuchaczów uniwersytetu.

Z kolei prelegent przeszedł do obszernej charakterystyki stosunków politycznych. Jeszcze w dziewiątem dziesięcioleciu wieku przeszłego lud nie miał dokładnego pojęcia ani o państwie, ani o obowiązkach względem kraju. Poglądy narodowe i polityczne mniej więcej były następujące: Galicya pozostaje pod władzą najbogatszego człowieka — cesarza, który dba o dobro swoich poddanych i chętnieby ulżył biedzie chłopskiej, gdyby panowie siedzący po urzędach na prowincyi i we Lwowie chcieli mu przedstawić chłopską dolę. Był to kult dynastyi austryackiej wytwarzany i podtrzymywany w wojsku i — do niedawna — w szkole ludowej. W ostatnich dopiero latach, pod wpływem szczerze ludowych wydawnictw, nastąpiło przeistoczenie poglądów chłopa galicyjskiego. Już tylko w bardzo zapadłych kątach zwie się lud „cesarskim" — świadomość narodowa rozwinęła się nietylko u tych, którzy przeszli szkołę ludową, ale i u starszego pokolenia. Ruch polityczny prelegent traktował bardzo pobieżnie, zwracając się z pewną niechęcią — jako narodowy demokrata — do całej działalności ludowców.

Odczyty p. Bujaka (było ich trzy) dały dużo, może niezbyt uporządkowanego materyału. Cechowało je pewne zacięcie opozycyjne, hamowane, ale widoczne dla każdego, co też sprawiło, że wywołały niezadowolenie większości członków Towarzystwa dla pielęgnowania nauk społecznych— większości, jak wiadomo, należącej do obozu konserwatywnego.

Następne odczyty — w liczbie czterech — poświęcone były charakterystyce rozwoju kwestyi rolnej u nas od połowy XVIII w. do dnia dzisiejszego. Wygłosił je dr. Stanisław Grabski z właściwą sobie znajomością gruntowną przedmiotu. Najmniej ciekawe były odczyty dr. Krzyżanowskiego o spółkach rolniczych, pomimo że pod względem formy stanowiły bardzo udatną całość i były wygłoszone bardzo ładnie. Prelegent — w odróżnieniu od swych poprzedników stał wyraźnie na gruncie interesów wielkiej własności ziemskiej.

Daleki.

Męczeństwo likierowe.

—⁂—

Paryż, 1 maja.

Bolesny widok! Z wielu stron bolesny. Dziejopisowie naszego czasu od Paryża do Warszawy zasunęli na głowę czarne kaptury, bo nie chcą, ażeby on patrzył swym szyderczym wzrokiem na ich zapłakane twarze. Zamiast w kałamarzach, nurzają swe pióra w łzawnicach i piszą, piszą, piszą skargi na teraźniejszość do przyszłości. Co za okrutna, bezczelna i ohydna epoka! Wiek XIX jest ostatnim szołdrą! Nie zadaje sobie nawet tego trudu, ażeby przedystylować uczucia motłochu i wyrobić z nich słodki, pachnący likier: nalewa do swego kielicha ordynarną, mętną gorzałkę z fuzlami i wznosi nią toasty na cześć postępu. Postępu! Rozpustnik, który się nazywa niepokalanym, gwałciciel, który się nazywa liberałem, tyran, który się nazywa wybawcą — on chce przewodniczyć ludzkości, on chce ją rozpajać swoją podłą siwuchą! Cham!

. . . .

Wygnana z miejsc, gdzie czarodziejską laską zmusiła skałę do tryśnięcia zdrojem wody życia, poszła na tułaczkę jedna rzesza cnotliwych pokutników, wioząc za sobą w ogromnych kufach święty płyn, a niosąc przed sobą w złotej puszce tajemnicę jego tworzenia. Szli bardzo smutni — smutni nietylko swoją niedolą, ale także niewdzięcznością ludzką. Bo wszakże dzięki im z owego źródła przez długi szereg lat toczyła swe fale olbrzymia rzeka słodkiego eliksiru, z której piły miliony najprzedniejszych wybrańców rodu ludzkiego. Przepłynęła ona przez wszystkie uczty i biesiady, przez wszystkie zbytkowne stoły, przez wszystkie wielkie sale i małe gabinety, przez wszystkie usta, sławiące rozkosz życia, a zmieszała się z najszlachetniejszą krwią tylu istot, że gdyby razem obsiadły ziemię, pod ich ciężarem zwolniłaby ona swój bieg w przestrzeni. Wzdłuż drogi tułaczów legły, jak dwa mury sięgające do nieba, wały wypróżnionych butelek z napisem *Benedictine*, martwe a wymowne dowody ich cnót, poświęceń i doznanej krzywdy. A ponieważ były to butelki puste, więc lekki wietrzyk, wpadając w ich szyjki, wygrywał na nich marsz żałobny i wydobywał z piersi męczenników rozpaczliwe szlochania. Takie poniewieranie zasługi pod słońcem wieku dumnego ze swej kultury! Kiedyż, kiedyż nareszcie ustanie ta tortura wolnych duchów, w których żyłach płynie najdoskonalszy likier!

. . . .

Najdziksze okrucieństwo powinnoby zadowolić się tak liczną gromadą ofiar, takim rozlewem... benedyktynki. Nowoczesne, występujące z pióropuszem tolerancyi, nie nasyciło się tym żerem i zapragnęło większego.

. . . .

Świątobliwi zakonnicy zleli życiodawczy płyn *Chartreusy* do ogromnych okseftów, tajemniczy przepis wyrabiania jej niby cudotwórczy szkaplerz zawiesili w skórzanej torebce na piersiach przeora, pozamykali bramy klasztoru i ukląkłszy w refektarzu, czekali męczeństwa. Na ich twarzach malował się spokój rezygnacyi, zachwyt wiary i gotowość do zniesienia srogich cierpień. Uroczyste milczenie przerywały ciche szepty modłów i egzekwij.

— Oby tylko odrazu zabrano cały ładunek.

— Kolej zobowiązała się.

— Ile beczek?

— Dwadzieścia tysięcy.

— Niech Bóg strzeże naszego dobra.

— Zaasekurowane.

Zewnątrz klasztoru słychać było coraz głośniejszy gwar. Nareszcie drzwi siłą wyważone z trzaskiem upadły i wszedł przedstawiciel władzy.

— W imieniu prawa wzywam panów do opuszczenia nieupoważnionej gorzelni — przepraszam — klasztoru.

— Ustępujemy przed brutalnym gwałtem — rzekł z godnością przeor. — Pan tu nie przyszedłeś w imieniu prawa, lecz przemocy. Prawo nie mogłoby być tak niesprawiedliwe, ażeby od nas, wyrabiających przepyszny likier, żądało takiego samego patentu, jak od fabrykantów zwyczajnej okowity. Nie będziemy was prosić o pozwolenie, gdyż je posiadamy od wieku, wydane nam przez smakoszów całego świata. Ale nasza krzywda nie przejdzie bez kary na jej sprawców, a nasze wygnanie bez pomsty. Zaczniemy znowu wyrabiać *chartreuse* gdzieindziej, mamy już gotowy zakład, wy jednakże dostawać będziecie gorszą i po wyższej cenie. Oto jest nasza klątwa, która spadnie na wasze usta, żołądki i kieszenie.

I wyszli na tułaczkę biedni męczennicy idei, a żegnający ich lud wołał zapamiętale:

— Niech żyje wolność likierowa! Hańba jej tyranom!

W żałobnych szatach, rozpłakani historycy naszego czasu piszą, piszą smutną opowieść nowoczesnego i może najstraszniejszego prześladowania za wiarę. Nam smutno na nie patrzeć, ale czy też potomnym smutno będzie o niem czytać?

W. P.

NARADY
nad hygieną mniejszych miast i wsi
na wystawie hygienicznej.

—⁂—

II.

Obrady dni następnych przyniosły cały szereg referatów o stanie zdrowotności i potrzebach w tym kierunku miasteczek i wsi naszych.

Pod tym względem oczywiście bardzo ważne znaczenie posiada pytanie, jak się lud nasz leczy i jak się leczyć powinien. W sprawie tej zabierał głos dr. Biegański z Częstochowy, którego szeroka działalność naukowa dobrze jest wszystkim znana i stanowi niejako wyjątek w naszych stosunkach prowincyonalnych. Dowiedzieliśmy się od niego, że na początku 1903 roku 7 milionów ludności prowincyonalnej obsługiwało około 240 lekarzy (a więc stosunek prawie 1 : 3000). Biorąc pod uwagę, iż jeden lekarz udziela przeciętnie 1,500 porad rocznie i zestawiając liczbę tę z ilością zachorowań i śmierci, przychodzimy do wniosku, że zaledwie każdy dwunasty chory udaje się z poradą do lekarza. Czem objaśnić ten fakt? Lud nasz leczyć się lubi; mamy dowód tego choćby w lecznicach bezpłatnych, które zawsze są przepełnione ludźmi, szukającymi porady w dolegliwościach nieraz bardzo błahych. Po za tem widzimy, że cały zastęp „niepowołanych" cieszy się rozległą praktyką; a więc: 1) dziedziczki i księża, 2) znachorzy, owczarze itd., 3) ex-posługacze szpitalni, felczerzy wojskowi itd. Najszkodliwsi są ostatni z wymienionych trzech kategoryj, albowiem stosują nieraz środki bardzo energiczne i tem wprost ludzi zabijają (np. wcierania mieszaniny szkła tłuczonego z kwasem siarczanym przy bezwładzie). Sądzić należy, iż lud nie szuka porady u lekarza dlatego, że 1) porada jego jest zbyt kosztowna, 2) nie umie się obchodzić z ludem, nie znając jego psychiki i nawyknień. Zadaniem lekarza prowincyonalnego winno być przeto: 1) nabranie odpowiedniej umiejętności obejścia się z włościaninem; 2) możliwe zniżenie swej „taksy" (która dziś przy wyjeździe do chorego wraz z końmi wynosi około 5 rubli); 3) dokładne poznanie akuszeryi i chirurgii, jako tych gałęzi specyalności, których wyniki dodatnie najbardziej są jaskrawe i które ułatwiają lekarzowi zdobycie zaufania chorego, ujawniając jego wyższość nad niepowołanymi doradcami zdrowia. Ostatecznie jednak lecznictwo ludowe wejdzie na tory racyonalne dopiero z chwilą uorganizowania ogólnej i stałej pomocy lekarskiej, opartej na innych zasadach, niż organizacya wprowadzona w r. 1897 tytułem próby dla gub. Płockiej. Organizacya ta, jak dziś wykazuje doświadczenie pięcioletnie, jest zasadniczo wadliwa.

Dr. Fidler proponuje pomoc lekarską na zasadach następujących: rewiry oddzielne nie powinny mieć więcej nad 10 wiorst w promieniu; główny nacisk należy położyć na szpitale, bez których nie sposób wyobrazić sobie leczenia racyonalnego; szpitale miejskie, jako lepiej urządzone, trzeba włączyć do organizacyi powszechnej; lekarze winni być wybierani przez urzędy lub towarzystwa lekarskie; podatek pogłówny musi być nie wyższy nad trzydzieści kilka kopiejek, przyczem z pomocy bezpłatnej niechaj korzystają tylko niezamożni (odpowiedni cenzus da się łatwo przeprowadzić); po za tem — okoliczność bardzo ważna — społeczeństwo całe winno brać obowiązkowo udział czynny w tej organizacyi, dzięki czemu obudziłoby się większe zainteresowanie tą sprawą, powiększyłyby się środki materyalne instytucyi; słowem, potrzebna jest działalność samorządu gminnego.

Dr. Kędzierski zaznacza raz jeszcze, że opodatkowanie winno być „od głowy," nie od morga, gdyż w ostatnim razie, jako bezrolni, zostaliby uwolnieni od podatku Żydzi, którzy są zamożniejsi od włościan rolnych. W projektowanej ogólnej pomocy lekarskiej na pierwszym planie należy postawić zadośćuczynienie wymogom hygieny (zapewnienie dobrej wody do picia, walka z chorobami zakaźnemi i z alkoholizmem itd.), potem dopiero unormowanie szpitalnictwa ludowego, zaś leczenie ambulatoryjne stoi zaledwie na trzecim planie. Dziś (w pomocy płockiej) i w projektach na przyszłość widzimy stosunki wręcz odwrotne (główny nacisk położono na ambulatorya, których znaczenie jest bardzo problematyczne).

Jak opłakanie przedstawia się szpitalnictwo nasze, widzimy z referatu dr. Męczkowskiego; który wyliczył, iż np 10,200,000 ludności posiadamy zaledwie 5710 łóżek, czyli na 10,000 — 5,6! Winno być ich 20; zatem brak nam w chwili obecnej conajmniej 14,000 łóżek! Zło się da naprawić wówczas, gdy wszyscy pojmą, że szpitale nie stanowią żadnej „filantropii," że budowanie ich jest takim samym (a może i ważniejszym) obowiązkiem społecznym, jak zaprowadzenie kanalizacyi, brukowanie ulic itd. itd. Funduszów winny dostarczyć zasoby miejskie i ofiary, których części, na ten cel przeznaczonej, nie zużytkowano jeszcze odpowiednio. Jest rzeczą niezmiernie praktycznie ważną, by działalność Rad dobroczynności publicznej była jawna i dostępna dla szerokich mas, które tą drogą miałyby możność poznania potrzeb szpitalnictwa i chętniej przyszłyby im z pomocą materyalną. W samych Radach mają wielkie znaczenie członkowie „z wyboru", między którymi winni zasiadać i lekarze, jako ludzie najdokładniej obeznani z potrzebami szpitali i ich stanem. — Ideał, do którego dążyć winniśmy — to szpitaliki gminne (poza wielkomiejskimi i małomiasteczkowymi) zbudowane podług wymagań nauki dzisiejszej, na 10—20 łóżek każdy. Urządzenie takiego szpitalika zdaniem dr. Szwajcera kosztowałoby nie więcej nad 6—8 tysięcy rubli, a utrzymanie roczne — 2,500 rubli.

Z innych spraw, śród narad poruszanych, zaznaczymy 1) projekt przymusowego, ogól-

nego szczepienia ospy, dzięki czemu odsetka śmiertelności tej choroby niewątpliwie spadłaby do zera; 2) obmyślanie sposobów dostarczenia ludności prowincyonalnej dobrej wody do picia i budowanie łaźni oraz kąpieli: — Czystość skóry, jak każdemu wiadomo, odgrywa w hygienie wielką rolę; kto nauczy się utrzymywać ciało w czystości, ten nabiera również zamiłowania do odzieży czystej i porządnej, a więc do porządku wogóle, systematyczności i — pracowitości. Idea ta najłatwiej da się przeprowadzić śród młodzieży szkolnej, to też dr. Tchórznicki gorąco propaguje zakładanie kąpieli przy każdej szkółce i ochronie, gdzieby dzieci co tydzień lub 2 tygodnie kąpiel bezpłatną otrzymywać mogły. Że sprawa ta dziś jeszcze daleką jest od ideału, dowodzą cyfry statystyczne zebrane z opatrzeń rąk i nóg wychowańców szkółek miejskich: u przeważającej większości skóra okazała sią zupełnie brudną.

By ułatwić czytelnikowi rozejrzenie się bardziej szczegółowe w naradach hygienistów przytoczymy wnioski niektórych sekcyj odczytane przy ich zamknięciu dnia 30 kwietnia r. b.

W sprawie czystości miast, osad i wsi oraz zaopatrzenia ludności w dobrą wodę. Poleca się po wsiach: okopywanie dróg rowami; w osadach: bruki i rynsztoki, zamiatanie ulic; w miastach: zamiatanie i polewanie ulic, przemywanie rynsztoków.

W osadach i miasteczkach konieczne jest podwórze i ustęp w każdym domu. Po wsiach zaleca się wspólne zbiorniki dla wypróżnień i pomyj (pod dachem na miejscu brukowanem ze ściekiem do gnojówki). Konieczny jest w miastach i osadach nadzór weterynaryjny nad rzeźniami i piekarniami, zakaz zabijania po domach bydła, nie wyłączając cieląt i owiec; nieoczyszczone ścieki z rzeźni nie powinny być wpuszczane do wód bieżących. Na jakość studni należy bardziej uważać w miasteczkach i osadach, aniżeli po wsiach. Pożądane jest dawanie kwalifikacyi dobrym studniom, budowanie nowych w miejscach wysokich z urządzeniem pomp i zamknięciem wierzchu; najlepsze są studnie artezyjskie. Każda studnia winna mieć swój czerpak. Należy zakazywać moczenia lnu w wodach bieżących i stawach w obrębie miejscowości zaludnionych, płukania wnętrzności zwierzęcych w rzekach i stawach, to samo tyczy się ścieków fabrycznych. Wogóle nie należałoby puszczać żadnych ścieków do rzek bez uprzedniego ich oczyszczenia.

W sprawie pomocy akuszeryjnej na wsi: Należy starać się o rozpowszechnianie za pomocą odpowiednich wydawnictw przepisów aseptycznego postępowania w położnictwie. Ilość „babek.“ jako najstosowniejszego typu akuszerki wiejskiej dla ludu, należy powiększyć przez wytworzenie wielu miejsc do nauki, przez ustanowienie z zapomóg gminnych i prywatnych stałego wynagrodzenia rocznego dla babki położnej, w każdej wsi osiadłej. Przy szpitalach powinny się znajdować oddziały położnicze, a działalność warsz. Tow. opieki nad matkami i ich dziećmi trzeba rozszerzyć na prowincyę.

W sprawie walki z chorobami zakaźnemi: Zobowiązać sołtysów, by zawiadamiali gminę o przypadkach zachorowań zakaźnych. Niszczyć odchody chorobowe, gotować bieliznę, palić słomę z pod chorego. Pożądane jest urządzenie w każdej wsi odpowiedniego oddzielenia dla chorych. Dzieci po przejściu choroby zaraźliwej przez cztery tygodnie nie powinny być posyłane do szkoły i do kościoła. Należy urządzić domy przedpogrzebowe i składać w nich zmarłych w sam dzień zgonu; uświadomić ogół, że szlamowanie stawów w porze ciepłej może być źródłem wielu chorób; zwrócić uwagę na pieczywo, mięso i produkty nabiałowe; wspólne kubki do picia wody (na kolejach) są nieracyonalne itd.

Chaty włościańskie i domy dla służby folwarcznej pożądane są nie większe nad 4-mieszkaniowe, z osobnem wejściem do każdego; mieszkanie oddzielne dla każdej rodziny; wielkość mieszkania powinna wynosić przynajmniej 5 metrów długości, tyleż szerokości a wysokość co najmniej 5 łokci; wielkość okna powinna zbliżać się do stosunku 1 na 15 powierzchni podłogi. Okna powinny być podwójne, tj. letnie i zimowe, otwierane na zawiasach i z lufcikiem; podłogi drewniane, heblowane. Przy udziale Towarzystwa rolniczego należy opracować typ praktycznych i tanich domów mieszkalnych.

W sprawie popularyzacyi hygieny: należy przy Towarzystwie hygienicznem uorganizować komitet popularyzacyi hygieny. Poleca się ogłoszenie kankursu na odczyty ludowe o hygienie. Wykłady hygieny w szkołach uważa się za konieczne. Towarzystwo rolnicze winno na swych wystawach prowincyonalnych otwierać działy hygieniczne. W tym względzie bardzo ważne są ochrony i żłobki. Należy dołożyć starań o skłonienie ogółu do jak najliczniejszego ich zakładania. Poleca się zakładanie prowincyonalnych towarzystw dobroczynnych w celu materyalnego wspierania przedsięwzięć, mających za zadanie uzdrowotnienie prowincyi.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiają się narady hygienistow naszych. Co do treści swej wnikają one niemal we wszystkie potrzeby strony hygienicznej prowincyi naszej. Wprowadzenie ich wszystkich w czyn i skrupulatne przestrzeganie przez kogo należy niewątpliwie posunęłoby sprawę olbrzymio naprzód, a właściwie zbliżyłoby stronę uzdrowotnienia ludu do — ideału.

Nieracyonalnem byłoby zarzucanie hygienistom naszym, że przedstawiając wnioski swoje, nie dają żadnej rękojmi ich urzeczywistnienia. Inaczej być nie może. Za wielką zasługę poczytać im należy, iż opierając się na solidnem doświadczeniu, podają plan działania, którego do tej pory nie posiadaliśmy wcale.

Przyglądając się powyższemu wykazowi potrzeb uzdrowotnienia, widzimy, iż część ich nie wymaga ani szczególnych zasobów materyalnych, ani też specyalnych rozporządzeń administracyjnych; mogą więc one być wprowadzone w czyn bodaj niezwłocznie. Inne (a te stanowią przeważającą większość) nie są tak łatwe do wykonania: na przeszkodzie stanie tu bądź brak pieniędzy, bądź przesądy ludu i nawyknienia, z którymi walczyć nie tak łatwo, bądź też istniejące przepisy.

Drogę do możliwie wszechstronnego przeprowadzenia reform omawianych widzimy: 1-o w zdobywaniu środków pieniężnych przez zakładanie stowarzyszeń dobroczynnych (zapomogi na budowanie chat hygienicznych, otwieranie ochron, żłobków, pomoc dla chorych, położnic i t. d. i t. d.), 2-o obznajmianie ludu z wymogami hygieny, najłatwiej za pośrednictwem osób mających z nim styczność bezpośrednią (nb. te osoby do tej pory same przeważnie mają bardzo słabe pojęcie o hygienie, należy przeto ułatwić im zapoznanie się z nią przy pomocy bodaj specyalnego czasopisma popopularnego i innych wydawnictw), 3-o staranie się u władz o wydawanie odpowiednich przepisów administracyjnych.

Droga do osiągnięcia ideału uzdrowotnienia prowincyi naszej bez wątpienia jest długa i żmudna, lecz nie powinno to odbierać nam otuchy do działania.

Jednocześnie z naradami hygienistów prowincyonalnych otworzono w salach Ratuszowych Wystawę Hygieniczną, której nadano nazwę „dydaktycznej“, chcąc zaznaczyć wyraźnie jej przeznaczenie (co prawda chyba każda wystawa ma cele dydaktyczne na względzie). Mamy tu przegląd tego wszystkiego, co do tej pory zrobiono u nas dla uzdrowotnienia ludzkości, oraz po części plany tego, co zrobić należy.

Niewątpliwie tego rodzaju zbiory na naszych wystawach rolniczych prowincyonalnych, w których udział włościan z natury rzeczy jest dość liczny, przyczynią się do rozszerzania śród ludu pojęć o pożyteczności, a więc i konieczności przestrzegania przepisów hygieny, a co najważniejsze — zapozna z jej wymaganiami.

Dr. E. L.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Sztuczny wróg.

Pozytywizm warszawski raz jeszcze stanął przed sądem. Tym razem wystawił mu trybunał Wilhelm Feldman w „Piśmiennictwie polskiem ostatnich lat dwudziestu“. Powiedziano jest: czcij ojca swego i matkę swoją. No, dla historyka i krytyka literatury podobne przykazania nie istnieją. Zresztą Feldman nie uważa się widocznie za potomka pozytywizmu warszawskiego, chociaż możnaby mu udowodnić z łatwością, że ten pozytywizm był mu co najmniej czułym opiekunem. Ale i względy wdzięczności nie obowiązują w krytyce. Cóż tedy obowiązuje? Ach, wiecznie to samo, prawda, prawda obowiązuje, znajomość przedmiotu obowiązuje, sumienność obowiązuje, wszystkie takie rzeczy obowiązują. Czy Feldman zgrzeszył przeciwko temu? I tak, i nie. Nie zgrzeszył, bo pisał z dobrą wiarą, pisał uczciwie, badał, szukał. Zgrzeszył, bo prawdy nie znalazł, bo wydał sąd mylny.

Książka jego jest nietylko sądem płodów piśmiennictwa ostatnich lat dwudziestu, ale do pewnego stopnia apoteozą piśmiennictwa ostatnich lat dziesięciu, czasem pięciu. Wzdyma się nowa fala młodych, występują na arenę pisarską tak zwani moderniści. Walczą z światem starym, walczą o miejsce dla siebie, chcą żyć, wołają: miejsca dla nowej duszy! Ale stary świat jest zazdrosny o każdą piędź swej potężnej placówki, on całe powietrze chce zagarnąć dla swoich płuc, on nietylko nie chce ustępować, ale nawet nie znosi kogoś w ogóle obok siebie. Stara, odwieczna piosenka!... To było zawsze tak i zawsze będzie tak! Klasycyzm nie chciał dopuścić do głosu romantyzmu, romantyzm realizmu, realizm naturalizmu, naturalizm modernizmu. Walczcie z realizmem, walczcie z naturalizmem — ale cóż wam zawinił pozytywizm?

Ba, niekiedy jest poprostu moda na wrogów. Oto, u nas modernizm upatrzył sobie wroga w pozytywizmie warszawskim. Wynika to może stąd, iż pozytywizm wytworzył swego czasu taki pęd, tak do dna zaburzył morze społeczne, że się morskie choroby żeglug późniejszych jemu i wciąż jemu przypisuje.

Ach, któż się z tym pozytywizmem nie rozprawiał, kto nie miał do niego prentensyi! Rozdzierał nad nim szaty kapłańskie ksiądz, wyklinał go stary romantyk, który przeżył swą epokę a nowej żadną miarą zrozumieć nie mógł, burzył się na niego galicyjski stańczyk a kostniejący poznańczyk tak szczelnie zatkał uszy, że się o nim nawet nie dowiedział... Pozytywizm warszawski był szczególną hydrą. Z początku miał dwie czy trzy głowy. Ale skoro mu odcięto jakąś głowę, to na jej miejsce

wyrastało zaraz kilka nowych, na miejsce odciętych kilku wyrastało kilkanaście, kilkadziesiąt; a potem te głowy odrywały się od wspólnego kadłuba i poczynały żyć życiem własnem, mnożyły się, aż wreszcie tych głów nabrało się tyle, że przestano rozprawiać o samej hydrze.

Ludzie, którzy należą do jakiegoś ruchu, albo też ruch ten zwalczają, sądzą go zazwyczaj fałszywie. Pierwsi przeceniają jego cechy przemijające; drudzy znowu przykładają taką wagę do tych jego cech przemijających, że nie mogą zdać sobie sprawy z jego działania na dalszą metę. Koniec XVIII-go wieku i początek XIX-go był epoką odrodzenia ruchu umysłowego w Polsce. Prawda, poezya tego okresu nie może się równać z poezyą doby następnej. Ale ile światła napłynęło do mózgu polskiego, jak ogromny skok naprzód uczyniła nasza umysłowość! Nie sądzimy tego wspaniałego ruchu ze stanowiska pierwszych jaskółek romantyzmu, bo wyrządzilibyśmy mu poprostu krzywdę. Nie pociągamy dziś Jana Śniadeckiego za to wszystko, co napisał przeciw nowej poezyi, rozgrzeszamy go nawet z tego, co powiedział o Kancie. Śniadecki walczył nie z arcydziełami romantyzmu, bo tych jeszcze wtedy nie było, ale z wiarą w dyabły, upiory i gusła, które zaprzątały głowy inteligentnej młodzieży. Filozofii Kanta także szkody nie wyrządził, bo jej wtedy w Polsce nikt jeszcze nie rozumiał, bo przecież nawet w Europie dobrze jej wtedy nie rozumiano i dopiero o wiele, wiele później rozległ się ów pamiętny okrzyk: „zurueck auf Kant!“ Ale Śniadecki razem ze swym genialnym bratem i całą plejadą ówczesnych uczonych podniósł poziom oświaty w Polsce, ucywilizował polski umysł, uzbroił go w wiedzę. Zasługi tych ludzi pozostaną w naszej historyi na zawsze. Jesteśmy dziedzicami ich dorobku, szerzonej przez nich kultury.

A potem przez trzydzieści lat nie mieliśmy uniwersytetu. Mieliśmy poezyę, mieliśmy wspaniałą, wulkaniczną poezyę, ale nie mieliśmy uniwersytetu. Potem „zaczęło więdnąć dawne wieszczów lato“ i wciąż nie mieliśmy uniwersytetu. Od r. 1848 rozpoczyna aię okres reakcyi, wstecznictwa, wielka poezya gaśnie, panuje rymotwórstwo, pleni się gawęda, a uniwersytetu wciąż niema. Już budzą się szemrania przeciw poezyi, poezyi udającej, już umysł polski łaknie gwałtownie — a uniwersytetu wciąż niema.

Ale nagle jest! W r. 1858 powstaje w Warszawie akademia medyko-chirurgiczna, a w r. 1862 Szkoła Główna. Zaczyna się dla nas poprostu nowa epoka. Szkoła Główna staje się gniazdem, z którego wylatują całe roje prawdziwie uskrzydlonego ptactwa. Roje te częścią rozlatują się po kraju, częścią biegną za granicę, kształcą się dalej na innych wszechnicach i z nauką, jaka wtedy była w Europie, wracają do kraju. Zaczyna się gorączkowa praca nad wytworzeniem nowego ruchu umysłowego, powiedzmy nad wytworzeniem wogóle jakiegoś ruchu umysłowego. Nauka przez kilkanaście lat nie jest ściśle nauką, ale staje się pionierem, agitatorem społecznym, obala fundamenty starego sposobu myślenia, wnosi Europę do naszych mózgów. Rozlegają się hasła Śniadeckich, hasła trzeźwego myślenia, hasła wiary w rozum, który przez mocno postarzałą fantazyę traktowany był jako kopciuszek. Hasła te łączą się z hasłami demokratycznemi w sprawach społecznych, więc nauka galicyjska, która w tym czasie także odżyła, poczyna się jeżyć przeciw pozytywizmowi warszawskiemu. Ale to agitatorstwo nauki warszawskiej trwa względnie krótko. Czasy pędzą, bo to nowe, wartkie czasy, wszystko przeobraża się gwałtownie i nagle pozytywizm rozpada się pod młotem potrzeb rzeczywistych na dwie swoje składowe części: na samą naukę, która poczyna żyć oddzielnie, i na postęp społeczny, który zajmuje się życiem. Więc hasła, jakie głosił pozytywizm warszawski, nie były dla niego tak znamiennymi rysami, jak ów szalony ruch umysłowy, którego był ojcem. Wszystko, co żywotne, powstało z niego, lub dzięki jego bojom mogło powstać obok niego, zostało na to wywalczone miejsce. On wyrąbał drzwi w dusznem mieszkaniu i wpuścił prąd świeżego powietrza; on zbudował bity gościniec, po którym następne pokolenia mogły maszerować do swoich celów. A wiadomo, że bardzo rychło zapomina się nazwiska wszelkich budowniczych. Baczny a nieuprzedzony krytyk, który dokładnie zdaje sobie sprawę ze znikomości wszelkich haseł, który zawsze poszukuje skutków obliczonych na bardzo daleką metę, nie będzie sądził pozytywizmu warszawskiego inaczej, nie będzie powtarzał owych banalnych zarzutów o „ochłodzeniu serc“ i o „walce z poezyą,“ skoro niebawem ów pozytywizm przyswoił naszej literaturze arcydzieła romantyków europejskich, skoro sam ukazywał palcem, gdzie wielkość poezyi, nie będzie robił zarzutu „filisterstwa“ ludziom, którzy w walce z ciemnotą poświęcali swój byt materyalny, którzy zresztą żądając chleba dla ogółu, nigdy się o ten chleb dla siebie nie upominali. A przedewszystkiem krytyk taki nie pomiesza tych ludzi z ich zaciętymi wrogami, nie pomiesza ich z galicyjskimi stańczykami, nie pomiesza ich z obozem konserwatywnym, który nad wszelką oświatą starał się roztoczyć lękliwą i ostrożną kuratelę, nie będzie ich mieszał z tymi, którzy „w fałdach spleśniałych tóg młodym światło chcą nieść.“

Synem tego ruchu umysłowego, którego hasłem było: „światła dla wszystkich!“, jest przedewszystkiem sam Wilhelm Feldman. Droga, po której kroczy, to dawny gościniec, zbudowany przez warszawskich pozytywistów. Miejsce, jakie dla swej działalności znalazł wolnem, zostało kiedyś dla kogoś przez pozytywistów warszawskich wywalczone. Ziarna, które sieje, padają na glebę, którą oni z zapuszczonego ugoru na ziemię orną zamienili. Prawda, my dziś nieraz inni, fala czasu poniosła nas, poniosła również wielu, och, wielu ówczesnych pozytywistów, nastąpiło zróżnicowanie, zagrzmiały hasła nowe, cały szereg placówek został zdobyty, różne zwycięztwa odniesione, nastały nowe boje, nowe trudy, nowe znoje, nowe dążenia. Nowe hasła w życiu, w sztuce — ach, przecież my żywi! Nic nie staje, wszystko dąży; raz tylko potrzebne większe wysilenia w tym kierunku, potem znowu w innym. Pozytywizm warszawski, który walczył z różnymi poglądami na świat, przeciwstawiał im jeden: pogląd naukowy. Żądał rozwoju tej władzy umysłowej, która u nas była najbardziej zaniedbana, żądał rozwoju rozumu, żądał praw dla rozumu, żądał od swych zwolenników i od swych przeciwników wiedzy, a brak jej w każdym niemiłosiernie piętnował. Wytworzenie owego ruchu umysłowego, powiedzmy *ponowne odrodzenie* tego ruchu, oto cała jego zasługa. Reszta — to rzeczy przemijające.

Dziś nikt nie będzie szukał po Warszawie dawnych pozytywistów, aby, jeśli się chce kształcić, oddawać się pod opiekę ich skrzydeł. Dziś *potrzeba* wiedzy już wpojona. Ale jak to było przed trzydziestu laty? Dziś na teoryę ewolucyi i powstawanie praw moralnych godzi się każdy światły człowiek, choćby nie należał do zwolenników *Przeglądu Tygodniowego*, *Głosu*, *Ogniwa* lub *Prawdy*. Ale w jakiem położeniu był młodzieniec przed laty trzydziestu? Przejrzyjmy ówczesne czasopisma, odczytajmy te stosy papierowe, na których miał spłonąć Darwin, Buckle itd. Prawda europejska była u nas utopią, bluźnierstwem, pokalaniem moralności, oplwaniem przeszłości, wywróceniem do góry nogami tradycyi, zamachem stanu na duszę ludzką. Okres pozytywizmu warszawskiego dał nam prócz walk o naukowy pogląd na świat—prozę, tak, prozę, świadczącą o kulturze umysłowej, prozę, której nam tak niesłychanie brakowało. Ta proza — ona zapewnia byt wszelkiej poezyi, ona dostarcza jej ziemskich soków i strzeże przed anemią, ona daje jaj podkład rzeczywistości. Wszak sam Feldmann przyznaje, co i w jakim stopniu modernizm zawdzięcza naturalizmowi.

Razi mnie tedy, szczerze wyznaję, razi mnie w książce Feldmana to, iż rozprawiając się z warszawskim pozytywizmem i to w dodatku bardzo pobieżnie, choć nie mniej dotkliwie, nie uwzględnił owego wzbudzenia umysłowego ruchu, okoliczności tak ważnej, iż podważa on sam fundament książki. Dziwi mnie to, gdyż wszelka poezya u nas, zarówno poezya ostatnich lat dwudziestu, jak i ostatnich lat pięciu, mówię: poezya, nie rymotwórstwo, tak silnie z ruchem umysłowym związana. Rozumie się, że Wyspiański ma inną duszę, niż np. Ochorowicz, a Przybyszewski inną, niż oni obaj. Ale powiedzmy sobie: jak zostałby przez publiczość polską przyjęty Wyspiański w 1870 roku? Niktby go nie rozumiał, niktby go nie mógł rozumieć. A czy p. Feldman jest tak całkiem pewny, że *wtedy* byłby wygłaszał o nim to, co dziś wygłasza?

Ja osobiście wątpię. Tak samo wątpię, aby Jan Śniadecki, żyjąc dziś, potępiał romantyzm i Kanta. Wierzę w to, że nawet Koźmian, gdyby jeszcze żył, przestałby nareszcie potępiać romantyzm, choć pewnie w dalszym ciągu nienawidziłby Lelewela. Prawdopodobnie zaś obaj, tj. Śniadecki i Koźmian, obracaliby się teraz przeciw modernizmowi. I znowu niezawodnie nieszkodliwie. Bo zawsze „żyć będzie, co żyć ma siłę.“ Uznajemy tedy w pozytywizmie warszawskim to, co było w nim epokowe, gdyż przez to samo zyskamy tem większe prawo krytykowania tego, co było w nim przemijające.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Źródło zakazów małżeńskich.

HYPOTEZA.

II.

Z innemi próbami rozwiązania kwestyi jeszcze łatwiej się rozprawić *). Oto np. Mac Lennan ze swoją hypotezą zabijania dziewcząt przez ludy, znajdujące się w szczególnie ciężkich warunkach bytu. Z biegiem czasu mieli ci ludzie za mało kobiet, więc je zaczęli zabierać innym. Pomijając to, że tak być nie mogło u wszystkich ludów i że stąd nie wypływał *zakaz* żenienia się ze swojemi: — albo takie plemię żyło nadal w ciężkich warunkach, a w takim razie musiało poprzestawać na swoich niewielu kobietach, lub warunki te się poprawiły: a w takim razie odpadała pobudka do zabijania dziewcząt własnych, i równowaga płci mogła być naprawiona wewnątrz plemienia w ciągu jednego pokolenia, więc nie było po co szukać guzów przy rabowaniu cudzych.

P. Witold Schreiber pierwszy impuls do egzogamii widzi w tem, że brak kobiet po-

---

*) Ob. co do większości ich trafne uwagi p. Kucharzewskiego, l. c. str. 65—101.

woduje wielomęztwo, a później jeden faworyt kobiety — jak i dlaczego? niewiadomo — odbiera ją innym współmałżonkom... Zresztą i tu *zakaz* wewnętrznożeństwa musi być przypisany dopiero wyżej odrzuconym czynnikom Morgana.

Próżność wojenna, dzięki której, podług Spencera, dziki porywał obcą kobietę, jako trofeum, nie tłomaczy również zakazu łączenia się z krewną.

Lubbock sądzi, że kobiety rodowe były własnością wspólną rodowców; jeśli więc który chciał kobiety tylko dla siebie—musiał ją zdobyć. Lecz skąd mu się brała taka chęć? I czy mógł kobietę obcą porwać sam jeden, o własnych siłach? Raczej przeciwnie, właśnie dlatego, że potrzebował pomocy wszystkich rodowców, więc zdobycz szłaby do wspólnego użytku. Pomijam już niejasność, jeśli nie zupełną fałszywość, pojęcia wspólności kobiet w rodzie.

Tylor wpadł na myśl, że egzogamia wynikła z umów wzajemnego małżeństwa między plemionami, które w ten sposób kończyły długie walki i zawierały przymierze. Ma słuszność Kowalewskij, że podobne myśli polityczne musiały być obce dzikiemu. Chyba, że walka toczyła się o kobiety; a w takim razie—dlaczego? Przytem, taka umowa niezupełnie jeszcze tłomaczy zupełny *zakaz* wewnętrznożeństwa.

Mucke sądzi, że zakaz taki jest tylko odwrotną stroną, nieumyślnem następstwem nakazu brania żon z pewnego określonego rodu obcego. Pomysł bez wątpienia dowcipny; ale po pierwsze, skąd taki nakaz? A powtóre, dlaczego później, kiedy nakazy małżeństw w określonych rodach zanikły, kiedy wolno już było brać małżonków z całego szerokiego koła współobywateli lub nawet cudzoziemców, dlaczego wolność ta nie została rozszerzona na krewniaków? Widać w zakazie wewnętrznożeństwa tkwiły inne przyczyny; widać on był jądrem systemu egzogamii!

Durkheim zbudował teoryę kunsztowną, opartą na totemizmie. Podług przekonania dzikich w członkach rodu płynie krew wspólnego przodka, totema; krew ta jest święta, *tabu*, przelewać jej i dotykać jej się nie wolno, jak nie wolno jeść mięsa totema; dlatego kobiet, należących do rodu, unikają z zabobonną trwogą w pewnych chwilach, i wogóle są one dla mężczyzn nietykalne. Późniejsze badania Baldwina Spencera wykazały, że u niektórych plemion australskich grupy egzogamiczna i totemicka nie zlewają się ze sobą; ludzie różnych totemów nie łączą się ze sobą płciowo, ludzie jednego totemu — łączą. Możnaby powiedzieć, że jest to stadyum późniejsze, rezultat rozproszenia się dawnych rodowców po nowych związkach, przechodzenia kobiet wraz z dziećmi do gromady męża; lecz to dzieje się często, a zakaz wewnętrznożeństwa nie przestaje przytem obowiązywać *dawnej* wspólnoty rodowo-totemicznej; tu tymczasem egzogamia obowiązuje inną grupę — opiera się więc widocznie na innych podstawach. Pomijam teoretyczne — a więc, przyznaję, sporne — nieprawdopodobieństwo pochodzenia tak ważnych norm od zawsze wtórnych wierzeń religijnych.

Wreszcie Westermarck powraca do „naturalnego wstrętu“ teologów — pod inną oczywiście formą. Zdaniem jego, ludzie nie czują pociągu miłosnego do ludzi, z którymi razem żyją od dzieciństwa, a przynajmniej czują pociąg znacznie mniejszy, niż do obcych, nieznanych. Gdyby istotnie tak było *zawsze*, czy byłyby potrzebne tak straszne kary, jakiemi pierwotne społeczeństwa grożą swym członkon za złamanie zakazu kazirodztwa? I czy wogóle *zakaz* ten mógłby powstać, gdyby szło tylko o taki gust jednych, i odmienny — innych?

Widzimy więc, że, jakkolwiek w tem lub owem z powyższych tłomaczeń tkwić może cząstka prawdy, poznanie jednego z czynników wtórnych, sprzyjających zjawisku, to jednak głównej jego przyczyny szukać należy na jakiejś innej drodze.

Jakaż może być droga właściwsza, jeśli nie rozważanie tego, co wogóle kształtuje życie społeczeństw pierwotnych niemniej, a bardziej bezpośrednio jeszcze niż dzisiejszych:—podstawowych wymagań troski o byt, gospodarstwa i obrony?

Pierwszy krok na tej drodze postawił M. Kowalewskij.

„Klan“ — a w terminologii francuskiej ten wyraz znaczy tyleż, co *gens*, czyli po polsku ród, chociaż podług Kowalewskiego składa się on nietylko i niezawsze z faktycznych krewnych, lecz często z fikcyjnych, wierzących w pochodzenie wspólne od jednego totema — „klan jest to środowisko uspokojone, wewnątrz którego w czasie zwykłym nie może powstać żaden zatarg dzięki temu właśnie, że świadomie czy też nieświadomie ze środowiska tego usunięto wszelki powód sporu, nie dopuszczając indywidualnego przywłaszczenia tak stad, pastwisk i gruntów uprawnych, jak kobiet, należących do tej samej gromady.“

Tak prof. Maksym Kowalewskij w swym referacie na IV kongresie socyologicznym [*]) określa ród. Że mowa tu o rodzie pierwotnym, najpierwotniejszym, tego dowód mamy o parę stronic dalej, gdzie czytamy, że autor pragnie hypotetycznie odtworzyć obraz „rodzącej się ludzkości,“ „społeczeństwa, które nie znało jeszcze ognia, metali, ani zwierząt domowych i zaledwie mogło, za pomocą broni z kamienia, podtrzymywać walkę z dzikiemi zwierzętami.“ Że w określeniu powyższem jest mowa o własności wspólnej stad i gruntów uprawnych, to nas nie powinno mieszać, gdyż to właśnie stosuje się do rodów późniejszych, które zachowały zasadnicze cechy pierwotnych. Kowalewskij mówi zaraz, że „ten rezultat pomyślny“ pochodził pierwotnie z braku u ludzi dzikich wszelkiego powodu do przywłaszczania indywidualnego ziemi lub jej płodów, oraz z konieczności wspólnej, zgodnej walki o byt. „Stada“ ludzi pierwotnych (str. 77, 85) musiały unikać wszelkiego wewnętrznego osłabienia, a więc wszelkich zatargów między swymi członkami, wszelkiego przelewu krwi; osiągnąć to mogły za pomocą usunięcia sporów o dobra materyalne i o kobiety; „wspólne użytkowanie z kobiet i zakaz ich indywidualnego przywłaszczania w łonie jednej i tej samej gromady były warunkiem *sine qua non* zgody i pokoju wewnętrznego“ (str. 78). Nie dość na tem: te stada ludzkie, chcąc być silnemi w walce ze zwierzętami i innymi ludźmi, musiały dążyć do zwiększenia liczby swych członków. W tym celu, po pierwsze, nie dopuszczały zemsty krwawej w swem łonie, nie karały zabójcy-współrodaka śmiercią, tylko jakby wyklęciem; powtóre, musiały chętnie przyjmować nowych, choćby obcych członków, a po trzecie — dążyć do zabierania innym hordom kobiet, niechętnie oddając własne. Stąd najpierw porywanie kobiet zbrojną ręką i ciągłe boje o nie, potem — umowy małżeńskie między hordami, z których jedna, słabsza, często musiała przyjmować mniej pomyślne warunki, np. powrót męża do swego klanu po spłodzeniu i pozostawieniu w klanie żony — pierwszego syna.

Kowalewskij z właściwem mu mistrzowstwem porównawczem znajduje te wszystkie cechy w słabszej lub silniejszej formie tak u grup totemicznych Australczyków i czerwonoskórych, jak u *gentes* rzymskich, klanów celtyckich, rodów słowiańskich, *Geschlechter* germańskich, *hayy* arabskich i *tajpa* Czeczeńców.

Zanim przystąpimy do krytyki tego najnowszego wytłomaczenia zakazów małżeńskich i egzogamii, zwróćmy uwagę na myśl Kowalewskiego, że w łonie hordy pierwotnej toczyły się walki o kobiety, i że wobec szkodliwości ich dla siły hordy na zewnątrz usunięto je przez uznanie prawa wszystkich mężczyzn do wszystkich kobiet hordy. Pierwsza przynajmniej część tej myśli jest uznana przez wielu innych badaczy — co prawda w pewnej szczególnej formie. Walka między jednostkami o kobiety nie stała się dotychczas podstawą żadnych teoryj, ale ważne bardzo wnioski wyprowadzono z walki między *pokoleniami* mężczyzn. Krzywicki mianowicie, z rozważania zwyczajów stad różnych dzikich zwierząt, z których stare samce wypędzają przemocą młode, dojrzewające, aby zachować sobie monopol samic, tak że młode samce ciągną razem z dala od stada i odbijają młode samice, a dalej — z analizy ceremonij „uobywatelenia“ młodzieży męzkiej, podczas których mężczyźni dorośli wśród objawów gniewu i oburzenia kobiet, trzymanych zdaleka, zadają młodym różne cierpienia, wnioskuje, że w pierwotnem stadzie ludzkiem starsi mężczyźni również wszystkimi, a przedewszystkiem gwałtownymi środkami bronili młodym przystępu do kobiet. — Stąd obozy młodzieży męzkiej i napady ich na gromadę w celu zdobycia kobiet, które praktykują się jeszcze długo później.— Utrudnianie przystępu do kobiet młodym mężczyznom przez starszych istnieje zresztą dotychczas u plemion australskich, niebędących jednak już właściwemi „stadami pierwotnemi.“ Używane są do tego najrozmaitsze sposoby: zakaz życia płciowego przed ceremonią uobywatelenia, odosobnianie młodzieży męzkiej w obozach, a nawet takie pomysły, jak bardzo rozpowszechnione umowy między rodzicami chłopca a rodzicami dziewczyny w równym mniej więcej wieku, że dopiero córka tej ostatniej będzie żoną chłopca.

Te utrudnienia przystępu do kobiet, które sprawiają, że często trzydziestoletni Australczyk jeszcze go nie otrzymał, stały się podstawą jeszcze jednej, najnowszej hypotezy co do początku egzogamii. William J. Thomas mianowicie, profesor uniwersytetu w Chicago [*]), przypuszcza, że odcięci od kobiet swego rodu młodzieńcy porywali wspólnemi przeważnie siłami kobiety z innych rodów. Co prawda, ta przyczyna mu nie wystarcza; bo istotnie, dlaczegóż ci młodzieńcy, którzy ważyli się na rozbój ryzykowny, nie mieli porywać kobiet z własnego rodu — najbliższych? I dlaczegoby w takim razie starszym mężczyznom również nie było wolno żenić się z kobietami swego rodu? Więc Thomas opiera się na wrodzonym człowiekowi, szczególnie mężczyźnie, popędzie do odmiany w rzeczach miłości, który doprowadził do wymiany między gromadami najpierw prawdopodobnie kobiet starszych, pozbawionych już uroku nowości, a potem, wobec żądania towaru coraz lepszego — i młodych dziewcząt. Thomas powtarza więc błąd Westermarcka, sądzącego, że upodobanie mogło wywołać zakaz, i to tak surowy. Że ten zakaz pozostaje niewytłomaczony, tego dowód daje nam autor, stwierdzając, że przed oddaniem kobiety gromadzie obcej wszyscy mężczyźni jej gromady po raz ostatni się nią cieszyli, co, kiedy wymiana objęła dziewczęta, przybrało charakter prawa współplemieńców do dziewictwa panny młodej; w tych wypadkach prawo to mają i ci mężczyźni plemienia, którzy należą do grup, normalnie pozbawionych *connubium* z daną kobietą. Zatem podział gromady na grupy zewnętrznożenne jest już dany przed wymianą kobiet między gromadami — i hypoteza Thomasa nie wystarcza—jak i inne.

Natomiast z faktów powyższych wyprowadzić można, sądzę, inny ważny wniosek:

*) „La Gens et le Clan,“ w *Annales de l'Institut International de Sociologie*, t. III, s. 72. Paryż, 1901.

*) *Der Ursprung der Exogamie*, Zeitschrift für Sozialwissenschaft. Wrocław, 1902, zesz. I.

mianowicie, istnienia u ludów pierwotnych prawa wszystkich mężczyzn hordy do wszystkich kobiet. Prawo to, z którego później rozwinęły się obrzędy weselne i przeżytki prawne, nazwane przez Bachofena i Lubbocka odszkodowaniem ogółu za małżeństwo z jednym, występuje specyalnie jako prawo mężczyzn starszych w ceremoniach „wilpadrina“ i „atna-ariltha-kuma“: młodzieniec, upatrzywszy sobie dziewczynę, zawiadamia o tem mężczyzn starszych, którzy na nią niespodzianie napadają i oddają ją mężowi po wykonaniu swego prawa. Nawiasem mówiąc, t. zw. rozpusta dziewcząt przed zamążpójściem, tolerowana, a nawet popierana u plemion, wymagających od kobiet zamężnych ścisłej wierności mężowi, i która, podług Kowalewskiego, dozwolona jest w rodach egzogamicznych, byleby nie pociągała za sobą macierzyństwa, tego *corpus delicti* złamania zakazu — jest, być może, formą późniejszą tego prawa wszystkich mężczyzn — rozciągniętego na cały czas przed zamążpójściem: w wyżej wymienionych ceremoniach brali udział również mężczyźni skądinąd względem danej kobiety zewnętrznożenni. Co najważniejsza, sądzimy, że należy uważać te ceremonie i pokrewne im zwyczaje za pokojowe, kompromisowe załatwienie walki między mężczyznami dorosłymi a młodymi o kobiety, mniejsza o to, czy należące do własnego rodu, czy z obcych drogą rabunku lub wymiany sprowadzane. Walki między dwoma obozami mężczyzn musiały ogromnie osłabiać hordę pierwotną: bezpośrednie odczucie szkodliwości tej niezgody, potrzeba jedności wobec wspólnych wrogów, mogły doprowadzić do ugody, przyczem jednak starzy zapewnili sobie korzyści w formie wyżej opisanej i prawdopodobnie w innych formach także. Jeśli przypomnimy sobie, jak to Australczycy drogą umowy zapewniają swym synom żony, o wiele od nich młodsze, bo przyszłe córki ich rówieśnic; jeśli zważymy, że ogólnym wynikiem podobnych środków musi być zakaz całemu pokoleniu mężczyzn żenienia się z całem pokoleniem kobiet, będących chronologicznie w tym samym wieku, ale faktycznie znacznie starszych życiowo i starzej wyglądających, bo wziętych już na żony pokolenia starszego mężczyzn — to może wolno nam będzie postawić pytanie: czy zakazy małżeństw między pokoleniami mężczyzn i kobiet, istniejące już u plemion najpierwotniejszych, oraz zakaz małżeństw między rodzicami i dziećmi, który byłby oczywiście wypadkiem poszczególnym, zastosowaniem zwężonem dawniejszego zakazu ogólnego, zamiast być, jak to dotychczas jest przyjmowane, wynikiem metafizycznej przyczyny wstydu naturalnego i szacunku dla starszych, lub niemniej w gruncie rzeczy metafizycznej, w znacznej części fikcyjnej — doboru naturalnego, nie powstały z dążenia hord pierwotnych do usunięcia walki między młodymi i starymi mężczyznami o kobiety — za pomocą ustanowienia odpowiednich zwyczajów ograniczających?

Tak byśmy zastosowali zasadę, postawioną przez Kowalewskiego, do zakazu małżeństwa — kazirodztwa — w liniach prostych, wstępnej i zstępnej.

(D. n.)

Dr. Kazimierz Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

LUDWIK JENIKE.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Człowiek, przyszedłszy na świat, otrzymuje pustą urnę nazwiska, którą przez życie napełnia swymi czynami i którą przy zgonie oddaje potomnym dla wstawienia jej do katakumb społecznych, jako pamiątkę jego bytu między nimi. Są tacy, którzy w tę urnę kładą pospolity zwir, są inni, którzy kładą większe lub mniejsze bryłki złota. Niewątpliwie do ostatnich należał zmarły przed tygodniem Ludwik Jenike. Nie pozostawił on znakomitych dzieł, cały jego dorobek literacki stanowi wiązkę artykułów i rozpraw, oraz przekładów, a przecież piśmiennictwo nasze długo nie zapomni, że on w niem pracował. Nie zapomni tej postaci czystej, światłej, poważnej, ze spokojnym umysłem a gorącem sercem, z dwiema twarzami, z których jedna zwrócona była ku zaszłym gwiazdom przeszłości, a druga zapatrzona we wschodzący świat przyszłości. Tamtą czcił, tę przeczuwał. Miał on swoją własną wartość, nadał swemu imieniu osobliwe piękno i szeroko zrozumiałe znaczenie, które tylko niewielu zdobywa. Ludwik Jenike — to było nietylko nazwisko znanego redaktora *Tygodnika Ilustrowanego*, autora monografii o rytmie w poezyi, Göthem lub Stefanie Czarnieckim, prezesa gminy ewangelickiej itd., to był wyraz prawości, rozwagi, czystego i niezmiernie czułego na dobro społeczne charakteru. Gdybyśmy stworzyli słowo: *jenikizm* — pojętoby je. Posiadał on bowiem swój odrębny styl zacnego działania, umiał z przedziwnym a bardzo rzadkim taktem odłączać i dla siebie zachowywać to, co powinno być prywatną własnością człowieka, od tego, co może oddać na użytek publiczny. Można było długo znać go i czytać jego prace, a jednak nie wiedzieć, że był protestantem, konserwatystą, klasykiem, bo nadewszystko był człowiekiem. To też chociaż przeszedł przez burze i walki przekonań, chociaż śród nich sterował łodzią dziennikarską ani razu nie znieważył cudzej flagi. Krzyżując się ze statkami płynącymi innym niż on szlakiem, pytał tylko załogę: A nie zbłąkacie się i nie oddalicie od swej ziemi? — Widzimy ją! — odpowiadała mu z serdecznem pozdrowieniem.— To jedźcie szczęśliwie!—Młodzi żeglarze szanowali go bardzo i może dla niego jednego zachowali niezmienną cześć w swych wspomnieniach z czasów boju, w którym on stał po przeciwnej stronie. Tę człowieczą godność i wyrozumiałość, to ukochanie dobra społecznego zachował do ostatnich dni swego życia. Gdy ciało w beznadziejnych zapasach z chorobą już jej uległo, duch jego jeszcze odczuwał smutki i skwapliwie chwytał promienie radości ogólnej. Czasem w zduszonej piersi 85-letniego starca pozostawało zaledwie tyle tchu, ile potrzeba było na krótkie pytanie o jakąś sprawę powszechną, która leżała w jego sercu. Ostatnia pieśń człowieka jest zwykle osobistą elegią, on umarł z psalmem miłości. Za jego też trumną pójdzie szczery żal, a na jego mogile siądzie wdzięczna pamięć.

NA MARGINESIE

Instytut Smithsona. Wszystkie prawie polskie instytucye naukowe wymieniają swoje wydawnictwa z wydawnictwami słynnego amerykańskiego Instytutu Smithsona, mało kto jednak wie, co to jest za instytucya, kiedy powstała, jakie są jej cele, jaka działalność.

Według powszechnego w Stanach Zjednoczonych przekonania Instytut Smithsona to malowniczy, do zamku podobny budynek, wzniesiony z brunatnego kamienia, w prześlicznym parku washingtońskim i zawierający ptaki, muszle, zwierzęta oraz inne przedmioty, do którego przylega drugi gmach wielki nazywany Smithsońskiem Muzeum narodowem. Ogólnie przypuszcza się także, że ta instytucya posiada zastęp ludzi uczonych, zwanych profesorami (jakkolwiek nimi nie są), pędzących czas na pisaniu książek, robieniu doświadczeń, i odpowiadaniu na rozmaite pytania, co do różnych spraw na niebie, ziemi i wodzie.

Przeciwstawmy to popularne wyobrażenie rzeczywistości: Instytut Smithsona jest „zakładem,“ stworzonym przez akt kongresu, na podstawie zapisu Jamesa Smithsona, Anglika, człowieka uczonego, w swoim czasie wiceprezydenta Towarzystwa królewskiego (Royal Society), który zmarł w Genui r. 1829, przekazując cały swój majątek Stanom Zjednoczonym Ameryki w celu założenia w Washingtonie pod nazwą Instytutu Smithsona zakładu pomnażania i rozpowszechniania wiedzy wśród ludzi.“

Kongres zapis przyjął i powołał do życia drogą uchwały „zakład,“ noszący miano Instytutu Smithsona, w którego skład wchodzą Prezydent Stanów Zjednoczonych, wiceprezydent, pierwszy sędzia Stanów Zjednoczonych, oraz członkowie Gabinetu.

Majątek Smithsona, który wynosił przeszło pół miliona dolarów, potem wzrósł do 760,000 dolarów, i stanowił na owe czasy fortunę wielką, został złożony w skarbie Stanów Zjednoczonych, a ten zobowiązał się płacić stale sześć procent od tej kwoty.

W akcie powołującym instytucyę do życia jest powiedziane: że Muzeum ma przedewszystkiem zawierać przedmioty sztuki, jakoteż owoce badań ważnych i ciekawych, następnie rośliny, okazy geologiczne i mineralogiczne, pochodzące ze Stanów Zjednoczonych. Akt ten przewiduje także założenie biblioteki, wreszcie określa czynności członków instytutu i sekretarza.

Pierwsze zebranie wydziału odbyło się dnia 7 września roku 1846, a w jesieni tegoż samego roku sekretarzem został wybrany Joseph Henry, ówczesny profesor w Princeton, znany ze swych doświadczeń elektromagnetycznych. Pod jego kierunkiem zaczęła się kształtować nowa instytucya. Praca jej polegała pierwotnie i przeważnie na ogłaszaniu drukiem pamiętników oryginalnych, zawierających przyczynki do wiedzy, jako też na ich rozsyłaniu bezpłatnem do najważniejszych bibliotek świata; na urządzaniu odczytów popularnych w Waszyngtonie, ogłaszaniu ich i rozdawaniu bibliotekom oraz osobom pojedynczym; na popieraniu badań naukowych przez dostarczanie aparatów i pieniężne pomaganie zasługującym na to badaczom, na współdziałaniu z innymi departamentami rządowymi w pracy, pożytecznej dla ogólnego zarządu krajem itd. Tutaj także rozpoczęto studya, które wydały takie wspaniałe owoce jak biuro meteorologiczne. Do większości swych obecnych prac naukowych rząd Stanów Zjednoczonych otrzymał pobudkę w tej instytucyi i doznał dzielnego jej poparcia.

Z przedmiotów, nagromadzonych w biurze patentowem, ze zbiorów prywatnych Smithsona, z zakupów czynionych przez wydział, z owoców wreszcie wielkiej wyprawy kapitana Wilkesa, powstało Muzeum Smithsona. Muzeum to wskutek wzmożonej czynności rządowej na polu badań, wskutek darów prywatnych, wreszcie otrzymania cennych przedmiotów, ofiarowanych Stanom Zjednoczonym przez inne narody przy zamknięciu wystawy jubileuszowej w Filadelfii w roku 1876, zostało zamienione na Muzeum Narodowe Istytutu Smithsona, pozostające pod zarządem wydziału tegoż instytutu. Wzniesiono dla niego osobny budynek i otrzymuje ono obecnie zapomogę wprost od kongresu. Muzeum to posiada obec-

nie zbiory, wynoszące około 5,000,000 okazów, i stanowi najpierwszą kolekcyę świata w tem co dotyczy historyi naturalnej, etnologii, geologii, oraz paleontologii tej części Ameryki Północnej, która nosi nazwę Stanów Zjednoczonych; zawiera też bardzo wiele okazów z innych krajów. Istytut posyła swe zbiory na wszystkie ważniejsze wystawy w państwie; 850,000 okazów rozdzielił pomiędzy różne kolegia i akademie, pomagając w ten sposób powstaniu we wszystkich cześciach kraju większych lub mniejszych muzeów

Wydawnictwa swoje prowadzi Istytut w kilku seryach: głównym celem jest udzielanie specyalistom wyników dociekań oryginalnych, a więc spełnianie tej części zadania, która polega na „pomnażaniu wiedzy“; wydawnictwa te jednak, choć ściśle naukowe trzymane są w takim tonie, iż każdy inteligentny czytelnik może je rozumieć, a przeto czyni się zadość drugiemu zadaniu instytutu, polegającemu na „rozpowszechnianiu wiedzy.“ Bezpłatnie rozdano instytucyom i osobom prywatnym 265 tomów w przeszło 2,000,000 egzemplarzy, co samo w sobie stanowi już pokaźną bibliotekę naukową.

Swoją bibliotekę stworzył instytut częściowo przez kupno książek, ale głównie drogą wymiany swych różnych wydawnictw na obce. Biblioteka zawiera obecnie już przeszło 150,000 tomów, przeważnie sprawozdań towarzystw uczonych. Różne rządy zobowiązały się do wymieniania swych wydawnictw z instytutem. Od owej chwili 5,000,000 funtów książek wysłano do wszystkich części świata. Ten Instytut prócz Ameryki, gdzie liczy przeszło 6,000 korespondentów w Europie, Afryce, i na różnych wyspach morskich, posiada ich blizko 28,000 usprawiedliwiając w ten sposób dewizę, wyrytą na pieczęci: Per Orbem.

Rząd powierzył instytutowi inne jeszcze zakłady jak: biuro etnologii amerykańskiej, zajmujące się studyami nad pierwotnymi mieszkańcami kontynentu; obserwatoryum astrofizyczne, wreszcie narodowy park zoologiczny. Założenie tego ostatniego miało pierwotnie na celu zachowanie zanikających ras zwierząt ssących w Ameryce Północnej; wkrótce atoli stał się zwyczajnym ogrodem zoologicznym.

Rozwój instytutu był znaczny raczej pod względem czynności niż wielkości. Kamień węgielny położono pięćdziesiąt lat temu. W ro- 1852 cały personel, razem z robotnikami wynosił dwunastu ludzi. W roku 1901 instytut zarówno jak i biura, znajdujące się pod jego zarządem, zatrudniały sześćdziesięciu czterech ludzi uczonych i 277 innych osób.

Prywatny dochód instytutu nie przenosi 60,000 dolarów, lecz mimo to rozporządza on rocznie blizko 500,000 dol. dostarczanymi mu przez kongres dla różnych biur poszczególnych.

Rząd Stanów wzywa bardzo często rady Instytutu w różnych kwestyach naukowych, zwłaszcza gdy posiadają one charakter międzynarodowy. Do jego pomocy uciekają się towarzystwa uczone, ciała profesorskie, dziennikarze, wydawcy pism, i setki ludzi prywatnych, poszukujących objaśnień udzielanych zawsze bardzo chętnie. Instytut współdziała z towarzystwami uczonemi narodowej doniosłości, jak amerykańskie Towarzystwo historyczne, i przyczynił się do wzrostu wielu towarzystw naukowych w Washingtonie.

PRASA ROSYJSKA

Bessarabiec dodaje jeszcze kilka następujących szczegółów o zaburzeniach antyżydowskich w Kiszyniewie podczas świąt ubiegłych: „D. 22 b. m. sędziowie śledczy rewirów 1-go i 3 go dokonywali oględzin sądowo-lekarskich zwłok żydów, zabitych podczas zaburzeń ostatnich. Ogółem jest zwłok 37; znajdują się one w części na cmentarzu żydowskim, w części zaś w szpitalu. Przyczyna śmierci dała się określić łatwo, ponieważ wszystkie rany zadawane były wyłącznie w głowy ciężkiemi przedmiotami tępemi jak resztki mebli, polana drzewa i kije. Z powodu tego obdukcyi sądowo-lekarskiej nie dokonywano i zastąpiono ją zwyczajnemi oględzinami.

W szpitalu żydowskim znajduje się 62 ciężko ranionych, również niemal wyłącznie w głowy. Wielu strasznie jest zeszpeconych: z poprzetrącanymi nosami, powybijanemi oczami i zębami i połamanemi szczękami. Większość z nich znajduje się w stanie niedającym żadnej nadziei wyzdrowienia. Szpital żydowski przedstawia widok punktu opatrunkowego po skończonej bitwie: przepełniony jest ranionymi tak, że nawet w przejściach na salach ustawiono łóżka; na tenże cel zajęto również sale jadalną i wszystkie inne.

Stosownie do wezwania policmajstra kiszyniewskiego, mieszkańcy, którzy podczas zaburzeń zabierali porzucone na ulicach i placach rzeczy, składają je w cyrkułach policyjnych Inni w obawie odpowiedzialności, podrzucają je nocami na placach, lub w podwórzach domów, których właściciele odsyłają znalezione przedmioty do cyrkułów, zawalonych rzeczami. Żydzi złożyli w policyi wiele deklaracyj z wykazaniem ilości zrabowanych rzeczy i wartości ich, oraz wymienieniem osób, które posądzają o uczestniczenie w zaburzeniach i rabunek.“

— W *Gaz. Finlandl.* ogłoszono Najwyższe rozporządzenie, ażeby bez zezwolenia policyi nie urządzano żadnych publicznych przedstawień teatralnych, koncertów itp. widowisk, jak również iluminacyi lub przyozdabiania miast flagami. Rozporządzenie to wywołała agitacya osób, pragnących wpłynąć na masy ludności przez urządzanie różnego rodzaju manifestacyi, jak np. dnia „światła“ w rocznicę urodzin poety Runeberga lub „ciemnoty“ w dniu ogłoszenia Najmiłościwszego Manifestu z d. 3 lutego 1899 r„ tudzież przez urządzenie przedstawień ludowych, na których grano utwory treści tendencyjnej z czasów wojen szwedzko - rosyskich.

— Gazeta *Kawkaz* ogłasza: „W osadzie Soczach, w gub. Czarnomorskiej, w d. 17 marca, umarł w nocy w areszcie włościanin wsi „Trzecia rota“, Swinostrygin, aresztowany w stanie nietrzeźwym dnia poprzedniego. Naczelnik rewiru i lekarz okręgowy dokonali oględzin trupa i lekarz stwierdził śmierć od nadużycia trunku. Około 12-ej w południe tłum, złożony z blizko 100 ludzi (w których liczbie było wielu pijanych) zatrzymał zwłoki Swinostrygina, wiezione z aresztu z rozporządzenia lekarza okręgowego na sekcyę, przyczem oświadczył przybyłemu na miejsce naczelnikowi okręgu soczyńskiego, iż nie pozwoli pochować zwłok bez dokonania sekcyi, gdyż zmarły był przez policyantów zabity w areszcie. Pomimo wyjaśnień, iż bez sekcyi zwłoki nie mogą być pochowane, tłum rzucił się na dom aresztu, poturbował policyantów, rozbił kamieniami słabe drzwi aresztu i wypuścił wszystkich aresztantów; jeden z rzuconych kamieni trafił naczelnika okręgu w rękę, drugi — porucznika pułku policyjnego w szyję, i jeden policyant uległ silnemu pobiciu. Przybyły oddział wojska rozproszył tłum. Z aresztantów wypuszczonych zdołało zbiedz tylko 8 niezbyt ważnych. Dokonana przez lekarzy sekcya na zwłokach Swinostrygina stwierdziła, że ten poniósł śmierć istotnie od pobicia, objawów zaś zatrucia alkoholem nie wykryto. Winnych policyantów oddano pod sąd; co się zaś tyczy stopnia winy naczelnika rewiru, pod którego zawiadywaniem był aresztowany. oraz lekarza okręgowego, który oglądał zwłoki, to ta będzie określona po ukończeniu śledztwa, które osobiście prowadzi prokurator sądu okręgowego ekaterynodarskiego. Do tej chwili osoby wymienione będą zawieszone w urzędowaniu. Do odpowiedzialności będą również pociągnięte osoby z tłumu, najwięcej winne zaburzeniom i samowoli.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Warszawski sąd okręgowy rozpoznawał we Włocławku sprawę 11 włościan ze wsi Sierzniki, pow. Łowickiego, oskarżonych z art. 13 i 272 kod kar., tj. o zmuszenie pogróżkami przedstawicieli władzy do zaniechania czynności służbowych. Szło o to mianowicie, że w jesieni r. z. włościanie wsi Sierzniki nie chcieli dopuścić do oszacowania swych nieruchomości według nowej ustawy o wzajemnem ubezpieczeniu od ognia, a następnie oznajmili, że składki asekuracyjnej nie zapłacą i na sekwestr swych nieruchomości nie pozwolą. Najbardziej winnych pociągnięto do odpowiedzialności sądowej i osadzono w więzieniu śledczem początkowo bez możności złożenia kaucyi lub poręczenia, później wypuszczono siedmiu po złożeniu kaucyi od 1,000 do 3,000 rb. i zapłaceniu należnej od nich składki asekuracyjnej. Sąd wydał wyrok skazujący dwóch oskarżonych na 2 tygodnie aresztu, 9 uwolnił, nakazując jednocześnie wypuścić ich z więzienia, w którem siedzieli od czasu rozpoczęcia dochodzenia sądowego.

— „Zbiór praw“ ogłasza, iż przedłużony został termin mocy obowiązującej pełnomocnictwa generał-gubernatora warszawskiego w wydawaniu postanowień obowiązujących.

— W *Gazecie Polskiej* czytamy następujący opis: W dniu 15 kwietnia sędzia pokoju 2 rewiru m. Petersburga, sądził sprawę niejakiego Luboszyca, oskarżonego o zakłucenie spokoju publicznego na wystawie obrazów petersburskiego Towarzystwa artystycznego, Zakłócenie spokoju polegało na tem: Na wystawie, pomiędzy innemi dziełami sztuki, znajdował się obraz, przedstawiający pisarzy hr. Leona Tołstoja, Maksima Gorkiego i Czechowa oraz artysty Riepina, zajętych połowem ryb. Czy sam temat powyższego obrazu, czy też zbyt może realistyczne traktowanie oddzielnych jego szczegółów (przy połowie ryb trudno być ubranym we fraku), nie podobał się panu Luboszycowi, dość, że wyjąwszy z kieszeni kredkowy ołówek, L. wypisał nim na samym obrazie ocenę jego wartości. Zdanie było krótkie i zawierało jeden wyraz „plugastwo“ (mierzost'). Ulżywszy sobie pan L., skierował się ku wyjściu. Za przygodnym krytykiem ruszyła jednak cała zebrana na wystawie publiczność. Z tłumu dolatywały pod adresem „krytyka“ wyrazy nagany, nie brak jednak było i pochwał. Niektórzy nawet bili „brawa“. Jednem słowem było głośno i spokój publiczny zastał zakłócony. Świadkowio stwierdzili zaznaczone powyżej okoliczności, wobec czego sędzia pokoju, powołując się na 14 i 38 artykuły ustawy karnej, skazał zaocznie L. na 6 dni bezwzględnego aresztu.

— W Petersburgu stawał przed sądem inżenier M. Rudnicki, oskarżony przez inspektora drukarń Czernowa o wystawienie rzeźb Biegasa („In hoc signo vinces“ i „Księgi żywota“) bez pozwolenia cenzury duchownej. P. Rudnicki, nie zaprzeczając faktu, bronił się tem, że rzeźby były już wystawione w Warszawie, gdzie cenzura jest ostrzejsza. Sędzia Lebiedinskij uznał oskarżonego winnym i skazał na zapłacenie 1 rb. grzywny.

— Zmarły we Lwowie dr. Władysław Jasiński zapisał 300,000 koron galicyjskiemu Towarzystwu lekarskiemu.

Z Poznańskiego. Według doniesień *Lecha*, regencya bydgoska wręczyła landratom spis nauczycieli z nazwiskami polskiemi, oraz instrukcyę, w jaki sposób zachęcać ich powinni do zmiany nazwisk na niemieckie.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty nadesłało kuratorowi okręgu naukowego warszawskiego komunikat w sprawie otwierania letnich kolonij szkolnych, według którego kolonie rzeczone zakładane być winny w miejscowościach zdrowotnych, za małą opłatą od uczniów gimnazyalnych, dzieci rodziców niezamożnych lub z jakichkolwiek powodów nie mogących w porze letniej przebywać na wsi. Zadaniem zaś kolonij tych ma być nietylko przebywanie na świeżem powietrzu, lecz także zajęcia w gospodarstwie wiejskiem, leśnictwie lub ogrodnictwie, które, nie obciążając uczniów pracą, dawałyby możność rozwoju fizycznego. Pożądanem byłoby również, ażeby wysyłani na kolonie letnie uczniowie zajmowani byli rozrywkami a także muzyką i śpiewem. Władza ministeryal-

na prosi kuratora o nadesłanie wniosków, jaki mianowicie typ kolonij szkolnych byłby najodpowiedniejszy: stałe przy zakładach naukowych średnich, otwieranych na wsi, z uczniami przychodzącymi, czy też otwieranie na czas wakacyj letnich z całodziennem utrzymaniem i opieką zwierzchności szkolnej.

— Poruszony został projekt założenia uniwersytetu w Mohylewie.

— Departament ministeryum oświaty zawiadamia, że prawo nie zabrania kobietom wykładania w prywatnych zakładach naukowych męzkich drugiego rzędu.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzono wystawę prac artysty malarza Jana Ciąglińskiego, na którą złożyło się 55 utworów. — Urządzono tu również wystawę prac uczniowskich szkoły zawodowej istniejącej przy zgromadzeniu malarzy pokojowych w Warszawie.

— Rozstrzygnięte zostały trzy konkursy, ogłoszone przez „Polską sztukę stosowaną“ w Krakowie, na projekty malowania ścian i sufitów, oraz na meble w stylu swojskim i firanki. W pierwszym nagrodę 200 koron otrzymał p. Kazimierz Brzozowski z Zakopanego, kilka innych wzorów odznaczono; w drugim wyróżniono meble p. Eugeniusza Dąbrowy Dąbrowskiego, stół — p. Wojciecha Brzegi, półkę na książki — p. Karola Kłosowskiego i fotel — E. Poynara. W trzecim nagrodę 150 koron otrzymał p. Edward Trojanowski z Krakowa, 50 rb. — p. Tadeusz Kołomłocki z Wadowic; oprócz tego wyróżniono cztery inne prace.

— W Wilnie otworzono wystawę krakowskiego stowarzyszenia „Sztuka.“

Sprawy ekonomiczne. W Muzeum przemysłu ma być urządzona wystawa galanteryjna, której otwarcie zapowiadają na 12 września. — Celem wystawy jest zapoznanie publiczności z obecnym stanem przemysłu krajowego w tym zakresie. Wystawa zawierać będzie 6 działów: 1) wyroby metalowe; 2) skórzane; 3) z papieru; 4) z drzewa, kości, rogu, celluloidu, masy perłowej, bursztynu itd.; 5) ze szkła, porcelany, fajansu majoliki, terrakoty, kamieni naturalnych i sztucznych itd.; 6) wyroby perfumeryjne. — Do konkursu dopuszczone będą tylko wyroby krajowe. Deklaracyę o przyjęciu udziału w wystawie należy przysyłać do zarządu Muzeum (Krak. Przedm. 66) najdalej do 1 sierpnia. Wzorów deklaracyi i wszelkich objaśnień ustnie lub piśmiennie dostarcza tenże Zarząd Muzeum.

— Kasa rolników i ogrodników po 3-letnim istnieniu wykazuje rozwój obiecujący na przyszłość. Liczba obecna jej członków wynosi 700, największej ilości bo aż 235 dostarcza gub. Warsza. Fundusze kasy wynoszą 23872 rb. Z pożyczek w ciągu 1902 r. korzystało 19 członków. Biuro pośrednictwa, działające przy kasie, przyjęło 336 zgłoszeń pracowników i 399 pracodawców, załatwiło 130 zleceń, i 42 kandydatów umieściło na posadach.

— Jako środek zabezpieczający od gradobicia zarząd dóbr państwowych urządził w Kachetii na Kaukazie stacye antygradowe, uzbrojone w 31 moździerzy, w odległości 400 sążni jedna od drugiej. Za zbliżeniem się chmury gradowej dawano wystrzały w liczbie około 15½ przeciętnie na działo. Skutek miał być natychmiastowy. Pożyteczny wpływ strzałów daje się czuć na kilka wiorst do około przestrzeni zaopatrzonej w stacye. Moździerze użyte w Kachetii są systemu barona v. Rosenberg i systemu francuskiego „Idéal“ (*Gaz. Pol.*).

Zdrowie publiczne. W Wiedniu utworzony został związek w celu zwalczania choroby wilka (*lupus*). Zebrano już ze składek 100,000 koron.

Katastrofy. Miasteczko Raduń w pow. Lidzkim, zniszczone zostało przez pożar. Setki rodzin utrwaciły dobytek.

— Skutkiem wybuchu gazu piorunującego w kopalniach w Essen 11 robotników zostało zabitych, kilku odniosło rany.

— W pobliżu Buffalo (Kanzas) zderzyły się pociągi towarowy z roboczym; kilkunastu robotników zginęło na miejscu, kilkudziesięciu doznało uszkodzenia.

— W Kanadzie, w miejscowości Abberty, uległa zniszczeniu osada Frank wskutek oberwania się szczytu góry Turtle. Olbrzymia masa skał, ziemi i mułu stoczyła się w dolinę i zasypała ją na wysokość kilkudziesięciu stóp. Śmierć poniosło przytem kilkadziesiąt osób.

Zmarli. Ks. Henryk Kossowski, biskup sufragan dyecezyi kujawsko-kaliskiej, w Warszawie.

— Władysław Ściborowki, lekarz zdrojowy w Szczawnicy, członek nadzwyczajny Akademii Umiejętności

— Bohdan Mordyrosiewicz, redaktor *Gazety Kołomyjskiej*.

— Mieczysław Boguński, profesor matematyki w krakowskiej Akademii technicznej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Cudzoziemce. Jeśli istnieje, to tylko w kalendarzu słowiańskim, który pod tym względem odznacza się wielką fantastycznością.

OFIARY.

Na powodzian stopnickich: Pan W.N. z Daszowa gub. Kijow. rb 5.

Pan Tyszkiewicz z Woskresieńska gub. Niżeg. rb. 5.

— Dla uczczenia pamięci Antoniego Gustawa Bema podjęliśmy wydanie wyboru jego najcelniejszych studyów i szkiców literackich.

Chcąc unormować nakład tego dzieła (przeszło 30 ark. druku), które pragniemy wydać bardzo starannie, zwracamy się do uczniów ś. p. Bema, jako też do osób, którym dzieje literatury ojczystej nie są obojętne, aby zechcieli wziąć udział w przedpłacie. Lista przedpłacicieli zostanie ogłoszona na końcu książki.

Przepłatę (rb. 3) prosimy uiszczać w Księgarni Naukowej, która odpowiedni kwit wyda.

Na wybór pism złożą się następujące studya: „Grzegorz z Sanoka,“ „Śmielsze przebłyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiej“ — „Wizerunek Reja“ — „St. Trembecki“ — „Obywatel polski z doby romantyzmu“ — „B. Zaleski“ „Echa mesyanistyczne w literaturze polskiej“ — „A. Towiański“ — „A. Bełcikowski“ — „A. Asnyk“ „A. Płóg“ „E. Orzeszkowa.“

Ignacy Chrzanowski.

Stefan Żeromski.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Апрѣля 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.